Cena 10 zł
(wraz z cegiełką na Dom Słowa Polskiego)

Odra

WYDAJEMY W KATOWICACH, WROCŁAWIU I SZCZECINIE SZEŚĆDZIESIĄTYCZWARTY NUMER TYGODNIKA LITERACKO-SPOŁECZNEGO „ODRA“

Dnia 16 lutego 1947.

Rok wydawnictwa trzeci.

Uniwersytet Wrocławski Biblioteka
02015

Marian Seyda

Sprawa Niemiec z perspektywy mojego Londynu

Autorem niniejszego artykułu jest znany publicysta i polityk, były naczelny redaktor „Kuriera Poznańskiego“, były członek Komitetu Nar. Pol. w Paryżu w latach 1917—1919, były min. spraw zagranicznych, poseł na Sejm, senator, ostatnio zaś polityk emigracji polskiej w Londynie. Artykuł został przez autora przeznaczony specjalnie dla „Odry“.

Londyn, w lutym 1947.

Zbliżamy się do okresu, który ma w sposób ostateczny, uchwałą konferencji pokojowej narodów zwycięskich, załatwić jedno z najważniejszych zagadnień, jakie przyniosła wojna, a mianowicie problem granic państwa niemieckiego, szczególnie zaś granicy niemiecko-polskiej. Tę ostatnią kwestię należy wysunąć z góry jako czołową, tworzącą zupełnie nowe polityczne i gospodarcze podstawy organizacji środkowo-wschodniej części kontynentu europejskiego. Inne bowiem przewidywane korektywy granic niemieckich ani nie oznaczają tak przełomowych zmian w dawniejszych, czy obecnych stosunkach, ani nie stanowią przedmiotu tak żywych dysput.

Odcinek czeski nie przyniesie poważniejszych niespodzianek. Nie należy przewidywać, że powiększenie Austrii kosztem państwa niemieckiego przybierze poważniejszy rozmiar. Francja uzyska Zagłębie Saary, wycofa się natomiast prawdopodobnie z programu linii Renu w przedłużeniu Alzacji ku północy; wiadomo też, że Francja nie ma szans przeprowadzenia zasady wydzielenia zagłębia Ruhry z ram Niemiec i zinternacjonalizowania tego okręgu. Belgia żąda małej, często lokalnej poprawki granicznej ze względów komunikacyjnych. Holandia domaga się skrótu swej wklęsłej, zdeformowanej w paru miejscach granicy z 525 do 340 km przez uzyskanie 1750 km kw ze 120 tylko tysiącami ludności, przeważnie niemieckiej, przy czym nie zamierza wydalać tych wszystkich Niemców, którzy mieszkali tam przed 10 maja 1940. Dania nie ma właściwie żadnej pretensji terytorialnej.

Natomiast Polska — oprócz potwierdzenia nabytku w Prusach Wschodnich — żąda żyra międzynarodowego dla swej granicy z Niemcami na wysuniętej wielkiej linii Odry i Nysy Łużyckiej oraz oczyszczenia z elementu niemieckiego zarówno dotychczasowego, jak nowego obszaru państwowego. Jest to niewątpliwie zagadnienie olbrzymie o dziejowej wręcz doniosłości, które łamie trwający lat tysiąc pochód niemczyzny na wschód poprzez cmentarzysko słowiańskie.

Polityka Polski historycznej nie grzeszyła niestety nadmiarem przewidującej, systematycznej idei państwowej. Pierwotny front Polski z okresu kładzenia podstaw państwowych, front zdecydowanie zwrócony ku zachodowi, został stopniowo zastąpiony coraz bardziej polityką, orientującą się na wschód. Niezwykły wręcz brak przewidywania z polskiej strony pozwolił brandenbursko-krzyżacko-pruskiemu tworowi gadzinowemu rozwinąć się szybko w potęgę, inicjującą rozbiory Polski. Równocześnie zaś urzeczywistnianie wschodniej orientacji Polski było przeprowadzane nie tyle pod kątem widzenia planowej polityki państwowej, ile raczej w dużej mierze według egoistycznych interesów tych, którzy byli powinni być przodownikami racjonalnego posuwania się kolonizacji polskiej na wschód, a w rzeczywistości kierowali się tym, gdzie była ziemia bogatsza („mlekiem i miodem płynąca“); stąd takie chaotyczne paradoksy, że np. na wschód od Lwowa byliśmy narodowo silniejsi, a na zachód narodowo słabsi.

Obecnie, gdy po hitlerowskiej zbrodniczej furii zbiorowej narodu niemieckiego Niemcy leżą zmiażdżone, musimy się zdobyć na największy wysiłek, by odrobić dawny błąd Polski na zachodzie w sposób stanowczy i trwały, tym bardziej, że jego wyzyskanie przez zachłanność germańską, a szczególnie pruską wtrąciło dwukrotnie nie tylko naród polski w katastrofę, ale cały świat w potworną zawieruchę wojenną.

Podkreślam: w sposób stanowczy i trwały — głębszy i mocniejszy, niż to się stało w Wersalu. Nie mają co prawda słuszności ci Polacy, którzy z lekceważeniem wspominają traktat wersalski, bo pamiętać należy, że wydobył on Polskę z niebytu państwowego i przyznał jej większą część zaboru pruskiego, co — wobec potęgi Prus i Niemiec — wydawało się wielu rzeczą wręcz niezniszczalną. Niemniej faktem jest, że wskutek narzucenia konferencji paryskiej z roku 1919 ciasno i ślepo pojętej zasady etnograficznej warunki pokojowe, nałożone wówczas Niemcom, osłabiły je tylko, i to w bardzo niedostatecznej mierze stwarzając dla Polski fatalną sytuację geograficzną, a dla Prus i Niemiec dogodną podstawę i odskocznię do pielęgnowania i niepohamowanego rozwijania dążeń przeciwko Polsce odwetowych.

Teraz chodzi nie o osłabienie, lecz o sparaliżowanie Prus, by raz na zawsze przestały być niebezpieczeństwem dla Polski i innych swych sąsiadów oraz dla pokoju światowego. Jednym z głównych tego warunków, to narzucenie Niemcom w sposób ostateczny na wschodzie granicy z Polską na Odrze i Nysie Łużyckiej.

*

Granica ta nie jest dowolną, jednostronną tylko improwizacją polską. Była ona szczegółowo dyskutowana na konferencji poczdamskiej politycznych szefów wielkich mocarstw zwycięskich z udziałem reprezentacji Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej. Obszar między dawną granicą państwa polskiego a Odrą i Nysą Łużycką został po szczegółowych rozważaniach powierzony administracji polskich władz państwowych z tym, że ostateczną uchwałę, sankcjonującą tę linię, ma powziąć konferencja pokojowa.

Warunek ten był ze stanowiska prawa międzynarodowego i zasady współdecydowania — przynajmniej formalnego — wszystkich narodów zwycięskich zrozumiały. Niemniej faktem są trzy rzeczy: 1) w Poczdamie została przyjęta linia Odry i Nysy Łużyckiej, a nie żadna inna, choćby alternatywnie; 2) ziemie na wschód od tej linii zostały w poczdamskim dokumencie przy poddawaniu ich polskiej administracji nazwane **„byłymi** ziemiami niemieckimi“; 3) władze polskie zostały upoważnione do wysiedlania ludności niemieckiej z tego obszaru (jak w ogóle z całej Polski), co musiało oznaczać merytoryczne przesądzenie zagadnienia terytorialnego jako takiego.

Mogą rządy tych, czy innych mocarstw toczyć z rządem polskim spór o takie czy inne wówczas stawiane warunki, ale trzy wyżej wymienione fakty są druzgocąco przekonywujące na korzyść stanowiska Polski. Jeżeli którykolwiek z rządów miał wówczas wątpliwości zasadnicze „w obronie“ Niemiec, w przyszłości „demokratycznych“ i „dobrych“, czemu nie wystąpił w Poczdamie, a więc w porę z votum separatum i nie podtrzymał go zdecydowanie? Dlaczego nie uniknięto w Poczdamie określenia: „byłe ziemie niemieckie“? I dlaczego powierzono je administracji polskiej? Ostatecznie dlaczego pozwolono władzom polskim już przed konferencją pokojową w sprawie Niemiec wszystkich narodów zwycięskich usuwać z tego obszaru ludność niemiecką? Czy na to, by ją po roku czy dwóch sprowadzać z powrotem i wyrzucać znowu osiadłych tam Polaków, przybyłych niedawno z ziem wschodnich, odłączonych od Polski? Czy też z tej przyczyny, że już wówczas przesądzono faktycznie los tych ziem.

W tych sprawach nie może być dwóch zdań, dwóch interpretacji. **Uchwały poczdamskie wiążą ich twórców.** Tego od ich rządów oczekuje naród polski, który widzi i tak obszar swego państwa skurczony obecnie o 20% w porównaniu z przedwojennym stanem rzeczy, a liczbę ludności ograniczoną do 20 i parę milionów.

Niemcy nastawiają teraz wszystko na sztuczne wmówienie w narody zwycięskie i ich rządy, że ludności niemieckiej grozi głód, jeżeli się ją pozbawi ziem na wschód od Odry i Nysy Łużyckiej, chociaż to ziemie w znacznej mierze lekkie, a częściowo nawet bardzo lekkie. Śrubuje się statystyki, mające wykazać, że zbiory ziaren i kartofli ziem tych karmiły w poważnej mierze ludność okolic Rzeszy bardziej na zachodzie; natomiast milczy się o szybkim wykonaniu reformy rolnej, o dostosowaniu w ogóle życia gospodarczego Niemiec do nowych warunków, o niepowracaniu w przyszłości do poziomu życiowego, którym się w przeszłości górowało nad poziomem narodów, otaczających Rzeszę. Przypomina to, jak po pierwszej wojnie światowej Niemcy lamentowali, że nie wytrzymają utraty „śpichlerza zbożowego“ — prowincji poznańskiej. A jednak wytrzymali i nabyli nawet tyle sił, że w całej pełni przygotowali się do drugiej agresywnej wojny światowej.

Śrubuje się niemniej liczbę ludności niemieckiej, raczej skromnie teraz podając liczbę strat wojennych w ludziach, znowu w tym samym celu straszenia widmem głodu Niemców. W tym przypadku chce się, by opinia publiczna zapomniała o osłabionej rozrodczości Niemców wskutek bardzo w społeczeństwie ich rozpowszechnionej niemoralności oraz nieobecności w kraju wielkiej liczby młodych roczników — jeńców wojennych. Część znaczna tych elementów nie wróci w ogóle, a chyba jeńcy wojenni, przeważnie

Irena Sławińska

Szukanie zguby

„ZNIENAWIDZIŁEM CZŁOWIEKA W OBOZIE

Nie wiem, czy ktokolwiek może spokojnie przejść obok tych słów, zwłaszcza jeśli spotyka je — w książce Morcinka. Straszliwe wyznanie! Rzuca ono ponury cień na obozowe wspomnienia pisarza, na ten bolesny dokument. „Listy spod morwy“, pisane na gorąco, pod niewystygłym jeszcze wrażeniem przeżytego koszmaru są strasznym oskarżeniem człowieka. Nie tylko oprawców — Niemców, ale także cierpiącego więźnia — człowieka w obozie — spośród całej — licznej po dziś — literatury obozowej. Książka Morcinka wydaje wyrok najsurowszy, oskarża najnamiętniej. „Człowiek w obozie był więc męczennikiem i bohaterem. Wyrafinowany system zabijania w nim godności ludzkiej przekształcił go jednak w tego samego potwora, jakim był jego oprawca. I tego właśnie „człowieka w obozie“ znienawidziłem w tym samym stopniu, co esmana“.

Przed oczyma naszymi przesuwa się cały szereg zboczeńców, zbrodniarzy, wyrafinowanych okrutników. Awansowani na stanowiska blokowych, czy „capów“, zwyrodnialcy ci wymyślili — jak mówi nam Morcinek — torturę, zwaną „śmiercią nurka“ i „śmiercią lotnika“. Obracali swoje zbrodnicze instynkty przeciw kolegom, współwięźniom. Ale „capów“ — powie ktoś — wybierano właśnie spośród najgorszych, kryminalnych elementów w obozie. Spośród zielonych, czarnych i różowych trójkątów. Ich zbrodni nie można uogólniać na „człowieka w obozie“!

Oskarżenie Morcinka obejmuje jednak wszystkich. Ci inni — polityczni — nie splamili się może tak wyrafinowanym okrucieństwem w stosunku do swych towarzyszy i oni jednak złamali braterstwo ludzkie. Tej **zdradzie człowieka** daje świadectwo książka Morcinka. Człowiek nie oparł się straszliwej pokusie głodu: głód popchnął go do kradzieży, a nawet — kanibalizmu. Żaden stopień kultury umysłowej nie zabezpiecza człowieka przed potężnym parciem instynktu, który każe mu wyciągnąć rękę po cudzy chleb. Tylko kultura moralna, wchłonięta całkowicie, zespolona z człowiekiem, nabiera mocy popędu i chroni od upadku.

Głód prowadzi do takich anomalii, że chory na rewirze decyduje się dzielić łóżko z trupem, byle tylko wyfasować jego porcję. Makabryczny wprost jest opis zbiorowego kanibalizmu w transporcie więźniów politycznych ze Stutthofu. Zamknięci przez 14 dni w wagonach więźniowie bronią się przed śmiercią głodową, zjadając trupy swoich wcześniej zmarłych towarzyszy. Z jakąś okrutną pasją gromadzi Morcinek te wszystkie fakty — jak gdyby sobie samemu naprzekór, jak gdyby rzucał je na urągowisko swojej dawnej, promiennej wierze w człowieka. To nie jest świadome dążenie do obiektywizmu, spokojne świadczenie prawdzie, ale właśnie namiętny krzyk, który się człowiekowi wbrew jego woli wydziera.

Morcinek pastwi się nad czytelnikiem i sobą. Świeże jeszcze wspomnienia krwawią, a więc autor rozkrwawia je jeszcze bardziej. Taki jest klimat tej straszliwej, męczącej książki. Na próżno cisza i wielkość Alp leczą rozranione serca. Wciąż i niepowstrzymanie wraca tam to przeżyte piekło. Z nienawiścią i wstrętem naprzemian Morcinek przyciąga i odrzuca od siebie te złe, niepotrzebne cierpienie. Bo takie właśnie wrażenie unosi się nad książką i męczarnie upadlają człowieka, gną do ziemi, prowadzą do zdrady. Jakże inaczej we wspomnieniach Zofii Kossak! Na dnie otchłani spełnia się wspaniały cud bohaterstwa i ofiary. Przeżyte męki składają ręce do dziękczynnej modlitwy, usta szepcą słowa: „Magnificat“. Z umęczonego serca wyrywa się hymn triumfu: Zło nie istnieje! Dobro ogarnia i zwycięża świat!

Morcinek pisze swoją książkę jeszcze z zaciśniętymi pięściami, jeszcze nie pogodzony. „Listy spod morwy“ przynoszą wyznanie klęski: „odchodzimy stąd jako kaleki... zatraciliśmy coś ze swej wewnętrznej istoty w ciągu tych przeszło pięciu lat w obozach... Czujemy pustkę koło siebie, czujemy pustkę w sobie...“ Więc człowiek powraca z dna otchłani uboższy, okaleczony? Po cóż więc cierpiał? W czym tkwi tajemnica tego zubożenia?

Wydaje się, że autor zna właściwą odpowiedź, tylko jeszcze nie może jej dosięgnąć. O tym zrozumieniu świadczą ostatnie słowa książki. „...I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom“. Słowa te wracają uparcie, natrętnie, jeszcze obce, jeszcze nie do przyjęcia. „Słowa te są dla nas jako kamień na pustej drodze, na którym boleśnie się potykamy“. Człowiek tęskni do chwili, kiedy będzie mógł je powtórzyć. Pragnie wierzyć, że chwila taka nadejdzie. Bo słowa te zostaną — będą osaczać coraz zwartszym kręgiem znużoną, zdziczałą duszę; póki nie ugnie się ona pod ich wyzwalającą mocą.

(Dokończenie na str. 3).

zacięci młodzi hitlerowcy, nie wrócą także przedwcześnie. Czynniki te i pokrewne wpłyną ograniczająco na siłę liczebną ludności niemieckiej i jej wzrost.

Niektórzy politycy tutaj (w Anglii) i w Ameryce przestrzegają, że odebranie Prusom i Niemcom ziem po Odrę i Nysę Łużycką będzie źródłem stale potęgującego się fanatyzmu odwetowego Niemców. **Jeżeli o to chodzi, to i strata w Prusach Wschodnich, utrata Śląska Opolskiego, w ogóle wszystkiego, każdego powiatu będzie przedmiotem prusko-niemieckiej zawiści i pożądania, natomiast stopień i charakter napięcia dążeń odwetowych: duży, czy mniejszy, ostry, czy łagodniejszy, będzie w wielkiej mierze zależał od postawy w tej mierze Anglosasów.** Postawa ich stanowcza na korzyść Polski przy równoczesnie mocnym stanowisku Związku Sowieckiego będzie należytą zimną wodą na rozpalone głowy zwolenników trzeciej szaleńczej próby.

Polacy, gdziekolwiek się znajdują, w kraju czy za granicą, mają tego pełną świadomość, że Niemcy po doświadczeniach lat ostatnich na nic się nie zdobędą przeciwko Polsce, jeżeli nie będą mogli liczyć na pobłażliwość W. Brytanii i Stanów Zjednoczonych. A tej pobłażliwości nie wolno niewątpliwie nikomu uważać za możliwą. To przekonanie jest przekonaniem całego narodu polskiego we wszystkich jego warstwach, bez różnicy poglądów partyjno-politycznych. Cały on też zwarcie domaga się ostatecznego międzynarodowego uznania linii Odry i Nysy Łużyckiej jako granicy polsko-niemieckiej.

*

Mówi przysłowie, że wyjątki potwierdzają regułę. Szczególnie, jeżeli wyjątków jest tyle, że na ich policzenie wystarcza liczba — dwa. Istotnie dwóch Polaków przeciwstawiło się w Londynie publicznie zgodnej opinii polskiej w sprawie granicy polsko-niemieckiej i konieczności usunięcia z Polski elementu niemieckiego. Pierwszy z nich p. Cat-Mackiewicz, nałogowy germanofil, w broszurze nowej nie tylko odrzuca granicę na Odrze i Nysie Łużyckiej, ale ubolewa nad tym, że Polska pozwoliła się wciągnąć w wojnę z Niemcami. Byłby on oczywiście wolał, gdyby Polska była poszła z Niemcami przeciw Rosji. Drugi, p. Sopicki, w wykładzie, wygłoszonym tutaj, potępił specjalnie wydalanie Niemców z Polski, co rani jego ministerialną „moralność chrześcijańską". Występy te będą oczywiście wyzyskane przez Niemców i ich obrońców. Nie zazdrościmy tego autorom. Z germanofilizmem p. Mackiewicza polemizować oczywiście nie zamierzam; a w odpowiedzi na argument „ludzkości" p. Sopickiego wobec Niemców słów kilka na zakończenie tych uwag.

Radzimy argument ten postawić na tle faktów dziejowych oraz doświadczeń świeższych okresów, aż do doby ostatniej stosunków niemiecko - polskich. **Ogniem i mieczem tępiona była przez szczepy germańskie ludność słowiańska ziem, o które tu chodzi, nie mówiąc już o olbrzymim obszarze po Łabę i Salę. Ogniem i mieczem torowali Krzyżacy drogę swej łupieżnej władzy na Pomorzu. Zainicjowaniem rozbiorów Polski „wywdzięczyli się" potomkowie elektorów brandenburskich za zgodę Polski na zjednoczenie ich władztwa z sekularyzowanym Zakonem Krzyżowym, co stworzyło podstawy państwa pruskiego. Przemocą we wszystkich dziedzinach życia narodowego państwo to przeprowadzało systematycznie dzieło germanizowania i materialnego podcinania żywiołu polskiego. Polityczne zniwelowanie ziem zaboru pruskiego i dużej części ówczesnego zaboru rosyjskiego z państwem pruskim i Rzeszą Niemiecką oraz uczynienie z reszty ziem polskich bezwolnej kolonii niemieckiej, było celem Prus i Niemiec w pierwszej wojnie światowej. Zgładzenie z górą czterech milionów obywateli państwa polskiego znowu — jak niegdyś — ogniem i mieczem, nadto „udoskonaloną" metodą gazowania i wszelkiego rodzaju katuszami, zarazem zburzenie i wypalenie miast i wsi polskich nie dla celów wojennych, lecz z premedytacją doszczętnego zrujnowania Polski, okradzenie narodu polskiego, z czego go tylko okraść było można: oto dzieło niemieckie drugiej wojny światowej.**

O tym wszystkim miałaby Polska zapomnieć?

Za wszystko to musiała na naród niemiecki spaść kara dziejowa, kara, odpowiadająca choćby w pewnej mierze jego winie. Karą tą musi być utrata na stałe ziem na wschód od Odry i Nysy Łużyckiej oraz zniknięcie Niemców z Polski. Zniknęli oni zresztą przeważnie sami, uciekając przed ofensywą wojsk sowieckich i polskich. **Oczyszczenie Polski z reszty Niemców jest dokonywane i będzie musiało być dokonane z całą systematycznością.**

Polacy Ziem Zachodnich, których całe życie wypełnione było walką z niebezpieczeństwem niemieckim, znają dobrze różnicę, zasadniczą między psychologią niemiecką a polską. Za czasów zaborczych, przed pierwszą wojną światową, opinia publiczna u nas uważała manifestowanie wier nopoddańczości wobec Prus i Niemiec za czyn hańbiący Polaka. Niemców w Polsce w czasie dwudziestolecia między wojnami nic nie kosztowało moralnie zaklinanie się, że są lojalnymi i szczerymi obywatelami państwa polskiego; ale ci sami Niemcy, gdy nadarzyła się pierwsza sposobność, gdy wybuchła wojna, zerwali się bez wahania się choćby przez chwilę, by uderzyć nas nożem w plecy. Kto sobie z tego zdaje sprawę, ma na pewno pełną świadomość, że całkowite oczyszczenie z elementu niemieckiego kraju naszego, włącznie z ziemiami powracającymi do Polski, jest dla niej życiową koniecznością, a dla nas nakazem wobec niej rozumu politycznego.

Fakty, dokonywane zgodnie ze stanowiskiem konferencji poczdamskiej, nie mają oczywiście bynajmniej wyłącznie charakteru negatywnego, lecz mają równocześnie cel pozytywny, twórczy w postaci osadzania Polaków przy dawniej niemieckich warsztatach gospodarczych i tym samym ekonomicznego opanowywania całego tego terenu. Co Polska w tej mierze już zdziałała — **a zdziałała nie mało** — co organizuje w dalszym ciągu i jakie są jej plany na najbliższą przyszłość, oto zagadnienie, na które w wysokiej mierze zwrócona będzie uwaga przedstawicieli wielkich mocarstw w naradach londyńskich i moskiewskich oraz następnie całej konferencji pokojowej. Przygotowaniu rzeczowego, ścisłego przedstawienia w tej mierze obecnego stanu rzeczy i zamiarów na bliską przyszłość poświęcony jest — sądzić należy — główny wysiłek czynników polskich, do tego powołanych.

Marian Seyda.

Perspektywa Odry

„Ileż to mi trosk przysparza ta Polska". (Rysunek z czeskiego tygodnika „Tvorba")

Liczni Polacy repatriowani z Wilna czy Lwowa a osiedli na Ziemiach Odzyskanych z trudnością uświadamiają sobie związki uczuciowe, które nas synów polskiego Zachodu, z tymi ziemiami wiążą. Ilekroć w prywatnych rozmowach gawędzimy z sobą o nowym obrazie ziem polskich, z ust naszych repatriantów wyrywa się westchnienie: ach, Wilno, ach, Lwów! Dobrze, gdy kończy się na wzdychaniu, gorzej gdy wstchnienie zamienia się w jakiś nieokreślony zresztą bliżej program polityczny. Pomijając jego niedorzeczność i szkodliwość w sensie polityki zagranicznej, szkodliwy jest on także przez to, że nie pozwala na rychłe zamknięcie Ziem Odzyskanych w kształt nowego wspaniałego uczucia.

Kiedy nareszcie w Polsce zaczyna triumfować polityka realizmu, jedynie słuszna w naszym położeniu geopolitycznym, wy — nieliczni co prawda ale bardzo szkodliwi — próbujecie odurzać głowy Polaków romantyczną zadymką. Kiedy Zachód otwarł się przed nami jak biała kartka, którą zapisywać będą nasze i przyszłe pokolenia słowami o triumfach codziennej pracy i trudu, wy próbujecie otwierać księgi zapisane już i zamknięte na siedem pieczęci. Jak to przeszkadza całkowitemu wchłonięciu Ziem Odzyskanych przez polską myśl i uczucie, o tym wiedzą najlepiej ci, którzy się z wami stykają w owych jakże niepolitycznych rozmowach, przy kawie lub kartach, we Wrocławiu, Szczecinie czy Gdańsku.

Wielu z pośród braci repatrianckiej zabrało się poważnie do pracy na polskim Zachodzie, szuka uczuciowych kontaktów z tą ziemią poprzez historię, krajobraz, losy wielkich Polaków tych ziem. Nie do tych też skierowane są powyższe słowa. Kierujemy je do owych, którzy przez swe wzdychanie i plotkarstwo sieją uczuciową dywersję nad Odrą, rozbijają tworzący się z trudem blok świadomości narodowej wśród ludności tubylczej, odrealniają mądrość polityczną, każą wątpić w wartość i s e n s trudu polskiego nad Odrą. I wreszcie — nie robotnikom i chłopom należy się ta nagana, ale przeromantycznionej inteligencji, mieszczaństwu, upierścienionym arystokratycznym paniczykom.

Nie należy lekceważyć owej Flüsterpropagandy, bo jakże często jest ona niemieckiego chowu. To przecież w Hamburgu zmyślono i wydrukowano plotkę, że wkrótce dostaniemy Lwów, ale oddać będziemy musieli Szczecin i Wrocław. Nasz realizm jest może dla wielu okrutny ale niemniej okrutne dla Ojczyzny są owe wzdychania, plotki, romantyczne nadzieje. Przeszkadzają bowiem integralnemu wrastaniu w Ziemie Odzyskane, sprawiają, że wielu wciąż jeszcze czuje się tu jak lotny piach.

Paweł Kupke.

●

Ileż to razy w ciągu stuleci przed wielkimi wojnami święty koń najprzód prawą nogą wyrzucał!

Ileż to razy wielka rzeka słowiańska Łaba zakrwawiła się od zwycięstw Obodrytów w zapamiętałych bitwach z nienawistnymi Saxami!

Ileż to razy plemię chrobrych Wagrów w walkach z Danami, Normanami, Jutami na lądzie, na lodowiskach zatok i przesmyków, na łodziach piratów roznosiło postrach słwiański w dalekie półwyspy, mierzeje i ostrowiska!

Ileż to razy potężne związki Weletów wypadały z lasów swych, z nad jeziora, z drewnianych grodów, z morskich zatok, przystani, wysepek, aby na lądzie i morzu mordować, palić i niszczyć!

Ileż to razy Ranowie ze swych białych przylądków i półwyspów — Mnichów, Jasmund, Witów, Wałów, Chełm i Zudar, — z cienia świętej puszczy w Arkonie skaczą w setki korabiów, ażeby siwe morze na wschód, zachód i północ przemierzać!

Ileż to razy róg Swarożyca rozlegał się po tamtej lewej, załabskiej stronie dla obrony krain, osaczonych przez cesarza Karzeła!

Z murów Głogowa patrzy polski wojennik na Niemce, jak ich pluta zalewa, niszczą choroby, mór dziesiątkuje.

Z murów Głogowa, patrzy ze śmiechem, jak z jego ziemi bez boju uchodzą.

Nad Odrą stoi obrońca...

(Stefan Żeromski: Wiatr od morza).

Likwidacja

Pamiętam taki obrazek z jakiejś ilustracji niemieckiej z pierwszych dni września 1939. Setki tysięcy głów, setki tysięcy ust krzyczy: Ja! ja, wir wollen den Krieg, Fuehrer! Tak, my chcemy wojny, wodzu! W pierwszym rzędzie siedziała artystka Berta Drews obok swego męża artysty Heinricha George. George umarł niedawno w obozie dla internowanych hitlerowców. Żona jego Drews natomiast, jak doniosła notatka z Berlina z 9 stycznia, pragnie się denazyfikować. Czy zapomniała o tamtej manifestacji w Sportpalaście, o owym spontanicznym, niewymuszonym, przejmującym „ja", które także jej usta wymówiły?

Czy nastąpiła rzeczywiście całkowita demilitaryzacja Niemiec, likwidacja literatury militarnej, mitów militarnych, zniszczenie fabryk broni, ukaranie tych wszystkich, co krzyczeli „ja", którzy wojnę nieśli w świat — w piosence, w wierszu, w ładownicy, w karabinach? Dziś wiemy przecież już, że filmy o Fryderyku przygotowały napaść na inne narody, wiemy, że bez defilad Fryderyka nie byłoby S. A., bez jego gwardii olbrzymów nie byłoby SS, bez bojaźni przed jego szpicrutą nie byłoby obozów koncentracyjnych. Zbrodnia tylekroć podniesiona do granic bohaterstwa, tylekroć uświęcona i rozgrzeszona musiała stworzyć zbrodnię coraz większą. Do dziecka już od niepamiętnych czasów przemawiało się tam słowami piosenki:

Spójrz, drewniane żołnierzyki
proch dźwigają w swych tornistrach,
musi bowiem trafić wroga
każdy karabinów wystrzał.

Co się robi w Niemczech, żeby zlikwidować to brzemię militaryzmu, które zaciążyło nad Niemcami? Nie obchodzi nas, co robią w tym względzie Niemcy, ciekawi jesteśmy poczynania sojuszników.

Generał-major Harper, Anglik, oznajmił dwa tygodnie temu, że demilitaryzacja w Niemczech jest zakończona i że odtąd już tylko cały wysiłek władz okupacyjnych skierowany będzie na to, by szkoły, towarzystwa sportowe, straże ogniowe czy policja nie stały się zaczynem pod nowe wojsko. Nie możemy podzielić optymizmu angielskiego generała. Militaryzacja w Niemczech nie jest zakończona, likwidacja militaryzmu trwać musi nadal. Właśnie w strefie angielskiej jest pod tym względem najgorzej. Mamy tam jeszcze regularne wojsko, zreorganizowane co prawda, ale uzbrojone. Mamy dywizje poławiaczy min i ich sześć sztabów w Kilonii, Cuxhaven, Kopenhadze. Przypominamy, że do obozu w Oldenburgu przydzielono niedawno 300 byłych SS-manów jako instruktorów wojskowych. Przypominamy, że koło Hanoweru i Monastyru znajdują się obozy dla Niemców, zwolnionych niedawno z niewoli angielskiej, a namówionych tu do podpisania kontraktu na 12 lat w t. zw. kompaniach roboczych. Niemcy ci zapoznani są w obozie z nowymi rodzajami broni, oficerowie noszą tam widoczne dystynkcje, działają Schreibstuby, ogłasza się rozkazy dziennie, zarządza karne ćwiczenia, a za dezercję sądy wojskowe, złożone z oficerów angielskich i niemieckich, wymierzają wysokie kary więzienne.

Można pilnować straży ogniowych, można im nawet opieczętować sikawki, żeby broń Boże w jakiś tajemniczy sposób nie wypluły granatów zamiast wody, ale przede wszystkim trzeba zakończyć prace demilitaryzacyjne.

By nastąpiła pełna demilitaryzacja nie wystarczy rozwiązać formacje, odebrać broń, karać za nielegalne posiadanie broni, — trzeba także odseparować oficerów od narodu, zniszczyć mit oficerski, a więc to, co Clausewitz uważał za pierwszy warunek militarnej wielkości. A tymczasem kierownictwo niemieckiego przemysłu ciężkiego w strefie brytyjskiej objął były oficer i kierownik przemysłu wojennego w minionej wojnie Dinkelbach. A tymczasem w Breitenhaupt koło Steinheimu w Westfalii na 880 morgowej posiadłości dalej rezyduje sobie spokojnie dowódca brygady SS von Kanne.

Jacek Brzym

Co robią Niemcy

Centralizacja czyli pomyłka Hoelderlina — Wizerunki partii — Granica na Odrze i Nysie jako linia obłędu niemieckiego

FRYDERYK Hölderlin w marcu 1795 tak pisze do matki: „Jak przyjemnie jest w kraju, gdy się widzi taką rozmaitość form rządzenia, bycia, celu. Jeden drugiego się nie boi, jeden drugi kraj podpatruje, rosną sobie Prusy ale przecież nie zamierzają zniszczyć sąsiadów, przecież podpatrują ich tylko, by się od nich czegoś nauczyć". Mylił się Hölderlin i nie wielu już Niemców po nim widziało w decentralizacji Niemiec tyle uroku, coraz mniej już łudziło się co do prawdziwych celów Prus.

Pajawiają się dziś jeszcze wprawdzie Niemcy, którzy przeklinają centralizację uważając, że jest ona jedną z bezpośrednich przyczyn zbrodni minionej wojny. Całe natomiast Niemcy żądają na nowo zjednoczenia. Ba, nie tylko żądają tego Niemcy, ale w przedziwnej jedności dążą do tego także państwa okupacyjne. Rzecz jasna, że każde z nich upatruje w tym jakieś własne cele i w zjednoczeniu Niemiec rade by wziąć udział w jakiś jego polityce przynoszący największe korzyści sposób. Dlatego z taką zaciekłością wyśmiewani są w prasie całych Niemiec północnych i wschodnich separatyści bawarscy, dlatego to odrzuca się nawet formę federalnego zjednoczenia Niemiec dążąc do bezwzględnej centralizacji. W debatach nad sprawą niemiecką, jakie toczą się w Londynie i znajdą swoje zakończenie w Moskwie, sprawa zjednoczenia Niemiec niewątpliwie dyskutowana będzie gorąco.

Dziwi nas w tej chwili tylko jedno, dlaczegóż to dotąd nie zajęły w tej sprawie, tak żywo nas obchodzącecj, stanowiska miarodajne czynniki polskie? Jeśli chodzi o stanowisko Polaków wiadomo tylko, że Osmańczyk, który reprezentuje swój własny pogląd, wypowiedział się za centralizacją Niemiec i wiadomo, że go parę miesięcy temu w jednej z gazet PPR-u omal nie nazwano za to sojusznikiem Prus. A tymczasem sprawa jest na prawdę pilna i jak się zdaje poza Osmańczykiem nikt jej dotąd w Polsce nie przemyślał. Ze skąpych enuncjacji członków Rządu wnioskujemy z żalem, że i oni jej dotąd nie przemyśleli. Obawiam się, że centralizacja Niemiec postanowiona zostanie w formie, której nie będziemy rozumieć i której nie będziemy umieli dostosować wczas do niektórych naszych koncepcji politycznych.

NAPISAŁEM, że do centralizacji dążą wszystkie na ogół partie niemieckie. Przyjrzyjmy się po krótce 4 największym, rozwijającym zresztą, przynajmniej jeśli o dwie z nich chodzi, najżywszą działalność w graniczącej z Polską strefie sowieckiej.

CDU i LPD mają wiele wspólnego nie tylko w formie działania ale i w treści programowej. Przyznać trzeba, że w prasie ich żaden dotąd przeciwnik partyjny nie został potraktowany brutalnie, insynuacjami, wyzwiskami. Przypomnieć jednak także trzeba, że prasa obu tych partii celuje w szerzeniu nienawiści do Polski i w rewizjoniźmie co do granic wschodnich. Obie partie mało obiecują, minione walki wyborcze toczyły spokojnie a także i bez wielkiego zapału. Ważniejsze punkty programu są tak sformułowane mglisto, że trudno się np. dowiedzieć, jak ma wyglądać w praktyce propagowany przez CDU socjalizm chrześcijański.

SED, sojalistyczna partia jedności, była dotąd najżywszą. W trudnych warunkach bezpośrednio po wojnie pierwsza się zorganizowała — co prawda wtedy jeszcze nie była partią jedności i dzieliła się na komunistów i socjalistów — okazała dużo zapału, dużo zacięcia, a w wielu wypad-

Ten zamyślony pan w otoczeniu syczących języków to dr. Kurt Schumacher w jednym z angielskich obozów dla niemieckich jeńców wojennych. Czego dowiedział się Schumacher od jeńców? W jednej ze swoich ostatnich mów do funkcjonariuszy partyjnych powiedział: „Rozmawialem z jeńcami, których ojczyzna leży na wschód od Odry. Są to szczerzy demokraci, pragną oni wrócić do swojego rodzinnego kraju, pracować dla innych Niemiec. Naszym obowiązkiem jest umożliwić im ten powrót".

kach także wiele zdumiewającej fachowości w rozwiązywaniu form organizacyjnych nowych Niemiec. To wszystko stanowi jej mocny kapitał przy starcie do czekających ją walk o przyszłe oblicze polityczne Niemiec. Bardzo ruchliwa w agitacji, ma na to niemało pieniędzy, zaproponowała wiele reform i niektóre z nich zwycięsko przeprowadziła. Wszystko, co się z nią nie solidaryzuje, jest reakcją, spokojne wysłuchiwanie argumentów przeciwnika uważa za burżuazyjne subtelności, za niewspółczesną już formę towarzyską. Kocha się w polityce faktów dokonanych (dzięki temu szczyci się przeprowadzeniem reformy rolnej i szkolnej). Lubuje się w hasłach, a niektóre jej hasła smętnie przypominają zrudziałe haselka minionego reżimu. Dzień wyborów określiła prasa SED jako „dzień sądu ludu"; dalsze hasła: „SED to najlepsza gwarancja demokracji", „SED to największa partia Niemiec" itd. SED zna się doskonale na najnowocześniejszych merkantylnych czy sentymentalizujących formach werbunku (festyny, zabawy dziecięce z żagwiami, nawet kiełbasa wyborcza). Jakkolwiek by jednak było SED zrobiła wiele dla zorganizowania nowego życia w strefie sowieckiej. Negatywny swój stosunek do obecnej granicy na Odrze i Nysie objawiła dopiero pod naciskiem dołów i po podobnych enuncjacjach innych partii. To się jej dziś wymawia.

SPD, partia Schumachera, ma w tej chwili najwięcej zwolenników w Niemczech. Może dlatego, że w jej szeregach znajduje się niejeden bystry polityk a także i... niejeden były heros hitlerowski. Programowo partia ta także jeszcze się nie wyklarowała, walki wewnętrzne stwarzają co raz to nowe przyczynki do programu. W każdym razie dąży ona do rewizji doktrynalnego marksizmu i do zaniechania przedwczorajszych, jak to określa, poglądów na walki klasowe. Czym się mają różnić walki „przedwczorajsze" od „wczorajszych" trudno się z programu SPD dowiedzieć. Od samego początku SPD zwalcza obecną granicę na Odrze i Nysie, rozwijając tę agitację również i poza granicami Niemiec. Prasa jej ostro napada na Polskę.

GRANICA na Odrze i Nysie, jak stwierdziliśmy powyżej, zwalczana jest przez wszystkich Niemców bez względu na przynależność partyjną. Stosunek swój do Polski Niemcy pragną uregulować jak najżyczliwiej, tak przynajmniej podaje prasa, ale stać się to musi poza sprawą graniczną. Znamiennym pod tym względem jest artykuł w „Berliner Zeitung" z dnia 23 stycznia pt. „Wegbereiter eines neuen Unglücks". Niepodpisany autor stwierdza na samym początku, że wszyscy Niemcy chcą zmiany granicy wschodniej na korzyść Niemiec, ale nie wszyscy, którzy tego chcą, są demokratami. (Tak jakby dla nas i dla Europy było to rzeczą ważną.) Artykuł wyróżnia zatem polemikę o granicę jako pozytywny wkład do stosunków polsko-niemieckich i nagonkę przeciwko rządowi polskiemu, atakującą go głównie za nową granicę, jako przygotowanie nowego nieszczęścia. W dalszym ciągu gazeta próbuje jednak tych drugich usprawiedliwić, uważając, że Niemcy w tym względzie są tylko wykonawcami polityki przychodzącej skąd inąd, z za granicy. W końcu artykuł występuje przeciwko rewizjonistom niemieckim, którzy granicy wschodniej nie atakują jako samodzielnego elementu polityki międzynarodowej lecz jako obiekt imperialistycznej i kapitalistycznej spekulacji. O taki reakcyjny stosunek do granicy na Odrze i Nysie posądza pismo partię Schumachera, uważając, że wszelkie inne ataki na tę granicę są dopuszczalne, czyste, ba — demokratyczne. Tak wygląda zatem obłęd niemiecki.

ZŁOŚĆ i nienawiść przeszkadza Niemcom w rozumieniu wielu pięknych rzeczy, które dzieją się u nich w dziedzinie kultury. Nienawiść do Polski nie pozwala im np. pojąć pięknych fragmentów „Placówki" Prusa, które im na złość recytował niedawno jakiś aktor na wieczorze recytacyjnym w Berlinie. Pewnie także nie pojęli pięknego wykładu Slatana Dudowa, wygłoszonego w berlińskim Kulturbundzie na temat komedii i jej społecznego znaczenia.

Dudow mówił o komedii współczesnej, wspomniał o satyrze antyhitlerowskiej w krajach europejskich, o filmie Chaplina „Dyktator", o braku poczucia humoru jako walki ze złem w Niemczech. Dudow powiedział: „Śmiech ludzkości to kamienie milowe w jej rozwoju. Pisać komedie to znaczy sądzić ludzi lub stosunki społeczne a śmiech jest ostatnim wyrokiem, wyrokiem najwyższej instancji." Tak powiedział Dudow, a parę dni potem „Telegraf" oburzał się, że w Polsce satyryczne rysunki wszystkich Niemców przedstawiają jako małpy, zbrodniarzy, krwią oblepione zwierzęta i że to — według pisma — oraz granica na Odrze i Nysie staje się główną przeszkodą do porozumienia. Warto przypomnieć Juvenala „Difficile est satiram non scribere". Kto tak się wkomponowywał w satyrę jak Niemcy, kto tyle dostarczył tematów gorzkiej satyrze narodów, ten niech się nie dziwi, że trudno jest nie pisać satyry. Szkoda tylko, że gorzkiej, bo zaprawionej łzami krwawych ofiar. A śmiech ludzkości niech będzie kamieniem milowym na drodze do szczęścia narodów.

wisz.

Najlepszy barwnik do wszelkich materiałów, to

(13) „ORION"

Składnica Fabryczna Katowice

ul. Starowiejska 3. Tel. 354-64.

Szukanie zguby

(Dokończenie ze str. 1).

Marginesowo i jak gdyby pół głosem przyznaje autor, że byli jednak inni ludzie — nieliczni bohaterowie prawdziwego braterstwa, głównie księża. Kilkakrotnie powraca imię O. Kolbe, wieść o tych, co mimo najstroższe kary nieśli innym pociechę spowiedzi, co gromadzili koło siebie „poszukiwaczy Boga" i wchodzili wespół z nimi na uciążliwe ścieżki poszukiwań. A jednak... A jednak znajdziemy w książce Morcinka słowa: „Człowiek w obozie, aż do ostatniej chwili, aż do skonu, całym swym zachowaniem zdawał się potwierdzać wyświechtaną już dzisiaj, a jednak wciąż jeszcze aktualną teorię Darwina w walce o byt. W obozie nikt nie chciał umierać jak tamci święci męczennicy w historii kościoła. A jeżeli ktoś w ten sposób umierał, był to już człowiek zupełnie załamany, albo wyzuty do ostatka z wszelkich sił".

LUDZIE SĄ DOBRZY

Co się stało z wiarą tamtych lat? Przecież tysiące książek Morcinka powtazało się jak wyznanie, gdyż były one wyznaniem wiary, ufności w człowieka, w „narodziny serca". Gdzie te lata? Gdzież ludzie z dawnych książek Morcinka — czyżby i oni przemienili się w stado wilków, zagryzających słabszego? A przecież w trudnych warunkach wychowany, oswojony z biedą i niebezpieczeństwem śmierci górnik nie ugina się. Umie wytrzymać bez zmrużenia powiek kamienne spojrzenie śmierci, przeciwstawiając przedśmiertnym lękom — niezłomną wiarę (nowelka „Wiara"). Pozbawieni pracy, wspólnymi siłami, po bratersku wyrywają ziemi węgiel. Żyje w nich wszystkich nie formułowane, proste, twarde prawo braterstwa, które każe do ostatka walczyć o młodego człowieka.

W przedwojennej twórczości Morcinka właściwie nie ma złych ludzi. Nie ma nienawiści. Pojawia się kiedyś — na chwilę — i natychmiast gaśnie, zwyciężona dobrocią. A przecież w noweli „Chleb na kamieniu" chodzi właśnie o zapiekły w sercu ojca żal za zabicie syna — nienawiść do zabójcy — Niemca. Wystarczy jednak ten kawałek chleba na kamieniu — maleńki odruch życzliwości ze strony wroga, by górnik odrzucił od siebie bliską i dostępną możliwość odwetu i miast śmierci — przyniósł ratunek ginącemu.

Jakże potężnie wybucha zwycięski płomień dobroci w powieści „Ludzie są dobrzy"! Doprawdy, wszystkie postacie tej książki prześcigają się wzajem w ofiarności na rzecz chorych dzieci Kucharczyków. Autor przyrzucił tym postaciom trochę śmiesznych cech, potraktował je z humorem, by im odebrać sztywność modeli. A więc doktór Nowak — uspołeczniony lekarz ludzi ubogich — obrywa ludziom guziki, a chłopcy z klasy małego Kucharczyka wyprawiają najdzikse zabawy. Ci sami jednak chłopcy potrafią wyrzec się swoich najdroższych marzeń dla uratowania kolegi: sprzedają łyżwy, narty, zbiory znaczków — bezcenne skarby chłopięce. Nikt nie uchyla się od tej dobrowolnej daniny braterstwa. Nie ma ani jednego zdrajcy. Taka jest młodzież — trzynastoletnie urwisy, dzieci górników. Dlatego bolesny skurcz serca wywołuje ponure świadectwo o młodzieży w „Listach spod morwy". Skąd ta rozpiętość sądów — skąd te zgrzyty?

Gdy dziś patrzymy na górnicze, beskidzkie opowieści Morcinka, uderza nas ów niesłabnący zachwyt nad człowiekiem. Jak gdy by autor był zupełnie niezdolny do bezstronnego, uważnego obejrzenia duszy ludzkiej w jej złych i dobrych przejawach. Naprożno szukalibyśmy w przedwojennej twórczości Morcinka zapowiedzi tego gryzącego tonu, jaki raz po raz wybucha w „Listach spod morwy". Na tle nowel, ujętych wspólnym tytułem „Serce za tamą", odbija swoim ponurym Kolorytem jedna: „Koński czerep". Zakopani żywcem górnicy, odcięci od świata, rzucają się wreszcie na trupa konia — pożerają na surowo mięso końskie. Scena ta, zreperowana zresztą zupełnie spokojnie i rzeczowo, zdradza już ów szczególny refleks makabryczny, właściwy opisom obozowym Morcinka. Oglądana jako całość, przedwojenna twórczość Morcinka, wyrosła z miłości do Śląska i trudzącego się człowieka, wydaje się manifestem wiary i zaufania. Zawsze tak właśnie ją odczuwano. A teraz ...

ZGUBY SZUKANIE

Przez ciemność przedziera się drżące światło i zaczyna zwolna drążyć mrok. Przybliża się szara godzina przedświtu. Wydaje się, że noc mija.

„Listy spod morwy" nie są ostatnim punktem dojścia, ostatecznym wyrokiem na człowieka. Napisał je Morcinek wczorajszy, więzień lagru, jeszcze niezupełnie wyleczony ze swojej „Stacheldrahtkrankheit". Wspomnienia obozowe i dziś jeszcze absorbują pisarza i dziś do nich jeszcze powraca, posłuszny ich magnetycznej mocy. Zelżało jednak napięcie, zaciśnięte pięści rozwierają się zwolna. We fragmentach drukowanych w „Tygodniku Powszechnym", nie dosłuchamy się już prokuratorskiego tonu. Najbardziej charakterystyczny wydaje mi się fragment, zatytułowany „Szukanie Boga w obozie" (Tyg. Powsz. Nr. 82 z dn. 13 paźdz. 46). Jest to powtórna transpozycja przeżyć, które znalazły już wyraz w „Listach spod morwy". Z tego też względu bardzo znamienna wydaje mi się ta „druga redakcja" tych samych motywów. Zestawienie obu wersji pozwoli na pewne wnioski. Będzie ono dotyczyć dwóch elementów wspomnienia p. t. „Szukanie Boga w obozie": lagrowych rozmów o istnieniu Boga i reakcyj na płonące Monachium. Przypomnijmy najpierw „Listy spod morwy": jest tam krótka, szkicowa, a tym niemniej przejmująca scena, gdy zbudzony nocą więzień pyta w straszliwym napięciu „Czy jest Bóg... czy nie ma Boga". Na to wydarte z dna rozpaczy pytanie pada twarda odpowiedź: „Nie wiem". Słowa te kończą dramat poszukiwania. („Bo sam nie wiedziałem").

Minął rok i wspomnienie tych rannych dręczących rozmów wróciło — zupełnie inaczej. Teraz, po roku, nie zostawi już Morcinek swoich „poszukiwaczy Boga" bez odpowiedzi: doprowadzi ich do chwili, kiedy będą mogli powiedzieć: „Teraz już wierzą, że jest Bóg".

Drugi motyw, który też wraca w zmienionej wersji, to widok płonącego Monachium. „Listy spod morwy" przynoszą nam relację o tych nocach, kiedy więźniowie upijali się widokiem płonącego miasta. „Człowiek w obozie przywarł do mroku i nienasyconymi oczami pożerał tamten widok, sycił nim swoje serce, upijał się, dosłownie upijał..." — To za naszą krzywdę! — szeptał z nienawiścią... Oczy wszystkich były podobne do maleńkich głowni, palące się, jak wilcze ślepia w nocy". — Jakże inne uczucia budzi ta ranna łuna nad Monachium we wspomnieniach, redagowanych po roku! Widok ten niesie oczywiście zapowiedź bliskiego wyzwolenia, ale budzi zarazem — właśnie poczucie braterstwa. I ta rozbudzona litość wiąże się najbliżej z odszukaniem Boga. Gdyż droga do Boga prowadzi przez człowieka: nienawiść ją zatarasowuje, a miłość — otwiera.

Ponad wszystkie wspomnienia urasta teraz postać bohatera — Ojca Kolbe. Wspominał o nim Morcinek już w „Listach". Wydaje się jednak, że nie zdawał sobie jeszcze wówczas sprawy, jak dalece czyn Ojca Kolbe jest protestem na straszliwe oskarżenie człowieka. Jak ta milcząca śmierć w podziemiach, podjęta dobrowolnie, ocala wielkość człowieka. Hołd, złożony bohaterstwu, to w tej chwili ostatni dokument literacki Morcinka. Niewątpliwie jako etap na drodze, która jest „zguby szukaniem" — wędrówką ku dawnej wierze w człowieka.

Irena Sławińska

Andrzej Rybicki

Sejm naukowy

dla Ziem Odzyskanych

Szerokim kręgom społeczeństwa polskiego wiadomo niemal od chwili wygaśnięcia działań wojennych, że Ziemie Odzyskane na zachodzie Rzeczypospolitej stały się terenem potężnego wysiłku zbiorowego, podjętego w celu dwojakim: aby naprawić szkody, sprawione kataklizmem z lat ostatnich, i by związać ponownie prapolskie rubieże nasze z trzonem kraju. W owym zmaganiu się ze złowrogimi upiorami przeszłości niedawnej i dawnej, oraz w akcji zespalania odradzających się krezów z terytorium centralnym, dostrzega i rozeznaje świadomość społeczna raczej wykonawczą pracę rąk i maszyn, niż nadrzędną, kierowniczą działalność myśli i wiedzy. Należy rzucić choć wąską smugę światła na udział nauki polskiej w olbrzymim, a nader złożonym procesie repolonizacji zachodniego obszaru.

Na proces ów składają się liczne i różnorodne przemiany strukturalne, które zbadać i włączyć w rytm jednolitego planu zdoła jedynie wytrawny polityk, ekonomista i socjolog. Nawet imponderabilia takie, jak postawa psychiczna ludności dawnej i napływowej, względem nowych warunków życia, mogą przyspieszyć, albo też utrudnić rzeźbę lepszych dni. Rzecz prosta, że gdyby całe dzieło odbudowy i zespolenia Ziem Odzyskanych pozostawić inicjatywie rozstrzelonej, nie ujętej w karby jednolitego, przemyślanego wysiłku syntetycznego, to nawet przy najlepszych chęciach każdego z osobna pracownika wytworzyłaby się niebawem chaotyczna rozbieżność dążeń, trwoniąca coraz to szkodliwiej energię zbiorową. Złączyć poszczególne siły i uzbieżnić działania mogła w sposób historycznie trwały jedynie nauka polska — oczywiście przy zastrzeżeniu harmonijnej zgodności z postulatami polityki wewnętrznej i międzynarodowej.

Uświadomiono to sobie już w zaraniu ery powojennej. Zaczątkiem trwałego zbliżenia świata wiedzy do świata maszyn i rąk, stało się powołanie do życia nowej instytucji naukowo-badawczej, mianowicie Biura Studiów Osadniczo - Przesiedleńczych. Do zadań Biura należy zbieranie i opracowywanie materiałów statystycznych, ważnych dla osadnictwa, oraz inicjatywa i wysuwanie projektów w zakresie polityki osadniczej i prawodawstwa osadniczego; należą tu również wszelkie prace, wiążące się z zagadnieniami osadniczo - przesiedleńczymi.

Zadania te domagały się nawiązania kontaktu z szerszym gronem uczonych, zwłaszcza zaś z przedstawicielami wiedzy nowoczesnej w dziedzinie ekonomii, socjologii, geografii i statystyki. Ażeby zapewnić stałą współpracę z kołami naukowymi, utworzono — na mocy zarządzenia Ministra Administracji Publicznej — Radę Naukową dla Zagadnień Ziem Odzyskanych. W skład Rady weszli profesorowie wyższych uczelni, oraz inni pracownicy naukowi, zajmujący się zagadnieniami aktualnymi dla akcji osadniczo-przesiedleńczej.

Działalność Rady zakreśla kręgi wciąż dalsze, a w miarę rozrostu prac powiększa się także skład personalny. Początkowo Rada liczyła 61 członków, obecnie liczba ta wzrosła do 97. Od grudnia 1945 r. uczestniczą w sesjach Rady przedstawiciele poszczególnych ministerstw. Nawiązana w ten sposób bezpośrednia współpraca reprezentantów władz centralnych z Radą jest bardzo pożyteczna z uwagi na możliwość wszechstronnego naświetlenia omawianych na Radzie zagadnień; pozwala ona również informować bezpośrednio czynniki rządowe o naukowym dorobku Rady. W czerwcu 1946 r. zaproszono na odbywającą się podówczas sesję szereg rzeczoznawców. Praca Rady napotyka na rosnącą liczbę zagadnień, wymagających oświetlenia przez spe

Anna Kowalska

Za trudne

I.

HISTORIA toczyła się gdzieś daleko wielkimi gościńcami świata, płynęła szlakami mórz, a tymczasem nad Sichowem gwiazdy zapalały się i gasły, zmieniały się pogody nieba, a prace na roli wypełniały dni chłopskie, nadając nieodparty, wiekuisty sens życiu. Mimo ofensyw powietrznych nieustraszone skowronki, wierne bociany i jaskółki przylatywały wedle niepisanych umów nad role, błota i dachy sichowskie.

Co raz to inny mąż opatrznościowy przemawiał w imieniu swego imperium do świata. Na drogach sichowskich nieraz przystawali ludzie, opierali się o brzozę, albo o opłotki przy krzyżu, podnosili głowy jak ślepcy i — nadsłuchiwali. Ale nie tego, co mówili sławni mężowie potężnych państw, byli ciekawi. Zwodzeni i zawiedzeni, już nie wierzyli słowom, ale mężowie, z niepokonaną cierpliwością tych, którym los wydziera co dla nich droższe nad życie, nadsłuchiwali samego głosu nadziei. Niestrudzenie, nieugięcie, na przekór słusznym racjom i samej nawet nadziei czekali dobrej nowiny. Niosła się ona światem i nieraz człowiek poczciwy pochwycił ją i rozpoznał w sercu porażonym.

Ksiądz Marcin chadzał na rytwiańską drogę przed wieczorem, odmawiać brewiarz. Jednak nie dla pacierzy tam chodził, ale właśnie dla owego wiatyku nadziei, którego raz był na tej drodze dostąpił.

Albin Wielgus, stary gajowy sydzyński, chociaż całymi dniami deptał leśne drogi pilnując dalekich rewirów, jedynie przy żywopłocie przed domem czasem doznawał upajającej pewności, że znajdzie się jakaś droga i prędka rada na zły los i w końcu wszystko się ojczyźnie ziści.

Gajówka Wielgusa była najcichszym domem w tym kącie świata. Stała w lesie, wysoko nad sydzyńską drogą, na przeciw prastarej dąbrowy. Od południowej strony widać było sad Wolków, suszarnię Gurandy i dalekie dwie topole sichowskie.

Żywopłot świerkowy, od lat strzyżony i przycinany przez Albina odgradzał zielonym, grubym murem dom Wielgusów od reszty świata. Albin dumny był z świerkowego żywopłotu i ze starej suki Liszki. Z Liszką od siedmiu lat prowadził niekończące się rozmowy. Wałęsali się godzinami, godzinami siadywali, zagapieni w wiewiórkę, strumyk, lub w nicość. Stronili od ludzi. Albin pocieszał się wódką. Co mu dokuczało, sam nie wiedział, ale czasem nudna żałość podchodziła gorzką śliną do gardła. Wyciągał płaską butelczynę z kieszeni i pił. Zawsze było za mało wódki, a za wiele goryczy.

— Tu zbieraliście z Helenką poziomki, pamiętasz?

—— Liszka, dobry pies, dobry, woli swego pana od innych, co? Nie nudzi się z nim. Nie?!

Liszka tak spłaszczała pysk, że aż się stawał podobny do szczupaczego, zezowała, merdała ogonem i poddawała się szorstkim pieszczotom Albina. Sprzeciwiać się nie było zgodne z jej usposobieniem.

Ale nawet serca wiernego psa nie można być pewnym. Liszka źle się czuła z Albinem od czasu, kiedy Krzyś wyszedł z domu. Raz w tajemnicy przed Albinem podążyła za Krzysiem aż do sieraskich stawów; tam Krzyś ją popieścił, a potem odpędził. Liszka nie miała możności przekonać go, że i ona potrafiłaby się przed umundurowanymi ukrywać i nie naprowadziłaby obcych na trop Krzysia. Brakło też Liszce serca, aby tak całkiem porzucić Albina. Nudny był dla samego siebie, teraz kiedy mu żona umarła, musi mieć chociaż psa, do którego by mówił. Liszka nie była na tyle wolna od próżności, aby woleć być czymś innym, niż sobą, ale rozumiała układ stosunków na świecie i zdolna była w razie potrzeby ocenić siebie w skali człowieka. Jak niejedno niewierne serce, nie wiadomo czy z litości (pomna dawnych lat), czy z lęku przed zupełną zmianą, zostawała przy Albinie, chociaż dusza jej towarzyszyła Krzysiowi. Chodziła przy nodze Albina, jadła i spała z nim, dawała się pieścić i sama próbowała figlów schlebiając staremu panu, ale robiła to z przymusem. Zdarzało się nawet, że nie mogła opanować ziewania lub jęku. Nie wiedziała, co gorsze, nuda z Albinem, czy tęsknota za Krzysiem; im więcej tęskniła za jednym, tym trudniej znosiła nudy z drugim.

Albin rozrzewniony gładził jej łeb: — Starzejesz się, biedaczko. Będziemy na ciebie uważać. — Liszka aż oczy przymknęła z nudów.

Albin nic nie rozumiał, ani się domyślał, i nadal chodził dumny z Liszki i świerkowego żywopłotu. Po ciężkiej zimie pierwszego roku wojny świerczyna w niektórych miejscach zrudziała i trzeba było głęboko poobcinać gałęzie. Powstały luki. Albin chodził wkoło żywopłotu, przypatrując się szczerbom, a rudawe wąsy zwisały mu, jak zawsze gdy się martwił. Helenka wybiegała przed dom i zaklinała się, że żadnej luki nie widać, że żywopłot gładki jak mur.

— Jak mur?

— Jak mur — odpowiadała bez wahania i prowadziła ojca pod rękę do domu.

Dobre było dziecko z Helenki. Robiła zawsze to, czego się po niej starsi spodziewali, a robiła tak ochoczo, jakby tego właśnie pragnęła. Pogodna, pracowita, zatajona, z jednym się tylko nie kryła, ze swoją miłością do brata. Ale bo też któż Krzysia mógł nie kochać? Twarze ludziom jaśniały od wesela na sam widok jego promiennej młodości.

Nawet siostra przełożona Górecka, nawet nauczycielka. nawet jędza Kaśka Wydżgowa łagodniały i robiły się jakby nieśmiałe. Stary Maj, gdy przypadkiem natknął się na Krzysia, odrywał wzrok od ziemi i przestawał się spieszyć w swojej obłąkańczej wędrówce.

II.

Po śmierci matki Krzyś zarzucał sobie, że jednak zniósł tę śmierć, przetrzymał i przeżył. Wszystko dokoła zdawało mu się teraz skazane na niepewność i w jakimś natarczywie oczywisty sposób przemijające. Najnieznośniejszym cierpieniem było to, że nie potrafił był, za życia matki zbliżyć się do niej i przekonać ją o tym, czym była dla niego. Owe niewypowiedziane słowa i gryzące uczucie winy ciążyły mu i raz wraz śniły mu się żałosne spotkania z matką.

Dotąd ojciec i syn związani byli z sobą tylko współżyciem w jednym domu. Wreszcie jednego dnia Krzyś zauważył ojca. Siedzieli po obiedzie przy stole. Krzyś czekał, kiedy będzie mógł wstać i pójść się uczyć z chłopcami u Tomka Gurandy. I oto dostrzegł w tej chwili ojca i opuściła go niecierpliwość. Poczuł się winny, gdy tak patrzał na dziecinne, niebieskie oczy ojca, na jego bezradnie nastroszone brwi, na stare poplamione ręce. Ojciec porozumiewał się oczami z Liszką. a kiedy Liszka ułożyła się wokół butów Krzysia, przeniósł bezwładne spojrzenie i zapatrzył się przez okno w szczyty dębów . Widok niekochanego, starego ojca wstrząsnął Krzysiem. Należał do ludzi, którzy czują żałość każdego istnienia i wydaje im się, że tylko ich miłość jest w pewnej mierze zadośćuczynieniem. Ktoś zaś bliski, a niekochany, wydaje się im przez nich skrzywdzony.

Odtąd Krzyś często wychodził z ojcem na obchód leśnych rewirów. Gdy przychodzili nad rów, Krzyś wykrzykiwał z przejęciem: — Rów, tato! — I Albin, który — ileż to lat — przeskakiwał ten rów, prawie go nie zauważając, teraz przystawał nad brzegiem, wystukiwał laską twarde miejsce, opierał się na lasce i ostrożnie przeskakiwał. Jeśli Albin wyszedł na mróz bez rękawiczek, Krzyś łajał go szorstko, wiązał mu szalik pod szyją, czego Albin nie znosił, ale pozwalał się męczyć, nadąsany i wzruszony.

Albin w swoim prostym, pracowitym życiu nie zaznał miłości, nic o niej nie wiedział. Żona, dzieci były częścią świata, jak słońce, woda, ale jego samego jakgdyby nie dotyczyły. Dopiero ta nieoczekiwana bliskość z synem uczyniła go nieśmiałym.

Krzyś zauważył u ojca podobne objawy, co dawniej u starych gospodarzy, których uczył był pisać i czytać: ta ich nieśmiała duma, zawstydzone ukontentowanie, że to właśnie ta litera jest m czy r, że zgadli, trafili, albo też obraza gniew, że im się nie udało. Tak kiedy stary Guranda, ojciec Tomka, napisał literę Z jak L, jakżeż się obraził za tę swoją pomyłkę, jak mu zwymyślał: „Na com ja stary głupiec dał się skusić do uczenia się takiemu gówniarzowi". Ale nie wypuścił zeszytu z ręki i przytrzymywał szponowatym palcem niesforną literę, jakby się bał, że sfrunie.

Albin nie zaznawszy w życiu miłości, stanął po piędziesiątce przed jej tajemnicą. Różne bywają miłości, ale żadna nie jest wolna od lęku i udręki czekania. Albin nie domyślał się nawet, że te nowe niepokoje i tęsknoty są miłością. Krzyś, jak większość chłopców sichowskich, poszedł w czwartym roku wojny z bronią do lasu. Albin, gdy tylko nie był w służbie, godzinami wystawał przy świerkowym żywopłocie, jakby sens życia był w tym czekaniu. Nocą wychodził z domu, źle teraz sypiał, patrzył na wędrujący księżyc, na nieruchome gwiazdy, wystawiał twarz na wiatr z dalekich stron. Opodal Liszka łowiła z wiatru jakieś tam pociechy dla siebie. Czekali oboje. Mija noc. Dzień mija i znowu mija noc, a w sercu starego człowieka i w tajemniczym sercu psa rośnie niepokój, czy chłopcom się w lesie wszystko darzy, i czy Krzyś, gdy przyjdzie, będzie im rad jak ostatniego razu.

Albin unikał z ludźmi rozmów o synu. Ale gdzie tylko się pojawił, zapraszano go do kieliszka i szeptano o Krzysiu, że znowu Niemcom auto sprzed mleczarni uprowadził i ludziom w Biłgoraju masło porozdawał, to że więźniów odbił. Krzyś oprócz Niemców jednego miał jeszcze wroga — bimber. Śmiali się z niego chłopi, że ludziom pić nie daje i bimber na pole wylewa. Albin markotniał, gdy Krzyś przeciw pijaństwu grzmiał. Prawda, gdzie się obrócisz, ludziska piją, czy z nudów, że się wojna ślamazarzy, ze strachu przed Niemcem i tą czarną przyszłością, z jakiejś czczości ciągłego czekania. Niemiec hojnie wódką chłopów poi, nie można powiedzieć, że by nie. Ale w te czasy wódki wciąż mało na owo pragnienie piekielne. Fornale i urzędnicy kradną co się da, i zamieniają na wódkę, a wódki wciąż mało. Na leśnictwie pędzą żytniówkę, po sklepikach sprzedają buraczankę, chałupy we wsi nie ma, gdzie by bimbru nie robiono.

Na Boże Narodzenie Krzyś dwa dni spędził w domu. Helenka nie miała czasu pobyć z bratem, bo bez przerwy ktoś wpadał do nich, by się Krzysiem nacieszyć.

Albin po świętach odprowadził dobry kęs drogi, prawie do jego obozu. Nie mógł się z nim rozstać. Noc była księżycowa i błoga. Na śniegu granatowiały ślady nóg zajęcy.

— I my jesteśmy płoszeni, jak one — pomyślał i chciał wziąć syna za rękę, ale nie śmiał.

Krzyś z kolei zawrócił i odprowadził ojca. Przechodząc przez polanę przystanęli w poczuciu, że mają sobie coś ważnego do powiedzenia.

—Tu zbieraliście z Helenką poziomki. Pamiętasz? — zapytał Albin.

Pamiętał. Matka lubiła to zaciszne miejsce. Tu w upalne dni przyjeżdżali wozem i matka rozkładała podwieczorek nad strumykiem.

— Nie widzę strumyka — powiedział Krzyś.

— Jest, ale się zmniejszył — rzekł Albin i obu im zrobiło się przykro, że strumyk sprzeniewierzył się ich wspomnieniom.

— Wie tato?

Albin zląkł się tego zadyszanego, ociągającego się głosu.

— Co, Krzysiu? — spytał z wyrzutem, pewny że usłyszy o jakiejś dziewczynie.

Krzyś podniósł głowę i wodził oczami po gwiazdach, jakby szukał czegoś na niebie.

— Chcę zostać marynarzem

Albin uśmiechnął się. Tylko tyle. Ale w twarzy Krzysia, bladej od księżycowego światła, dostrzegł coś tak pięknego, że serce mu się ścisnęło z niepokoju.

— Tato, tak, chciałbym, żeby mi się to udało. Jak się skończy wojna, wyjedziemy razem nad morze.

Albin, mimo że byli sami, w nocy, w środku boru, spuścił oczy. Zobaczył, że nowe buty Krzysia są jednak na niego za duże, bo końce podginały się w górę. Uścisnął rękę syna. Oto znowu stali się sobie bliżsi. Wiedziony instynktem i on zapragnął coś zawierzyć synowi, ale nie wiedział co. Nadaremnie szukał w myśli, nic nie mógł znaleźć. Stał tak z otwartymi ustami, ale tylko chwytał mróz. Wreszcie naszło go natchnienie. Znalazł. Miłość otwarła mu oczy na świat, oto i on biedny, i od dawna jakby nieżyjący, powierzy synowi coś w zastaw przymierza.

— Obmyśliłem sobie — powiedział uroczyście i kłamliwie, głosu swego nie słysząc, tylko czując suchość w gardle — że jak długo ty będziesz w lesie, nie tknę się wódki.

Krzyś wpierał oczy w gwiazdy wozu północy z takim skupieniem, jakby prowadził statek po nieznanych wodach. Nie dosłyszał w pierwszej chwili tego, co ojciec był rzekł, wreszcie dosłyszał...

Albin poczuł gorące usta syna na twarzy. Znalazł się nagle na jakiejś niebezpiecznej wysokości, uchwycił się ramion syna i jak to czasem we śnie, zląkł się, że spadnie.

Stali tak chwilę ojciec i syn, drżący, bliscy i nieswoi, jakby przeczuwając, że gdy rozplotą im się ramiona, rozluźni się również to dziwne porozumienie.

Rys. A. Rohoziński.

szczęście

Jakoż i tak się stało. Albin pożegnawszy się z synem, ostygnął z uniesienia, wracał do równowagi. Z każdym krokiem stawał się z powrotem Albinem z poprzednich, małodusznych dni swojego życia.

Koło stawów zwolnił kroku, znużony nagle i sobie nierad. Przecie na Trzech Króli ma być na chrzcinach u Rebajów, a tam bez wódki nie sposób. Na raroga go Krzyś wykieruje.

— A tom się zagalopował — zdziwił się sobie z naganą i wywinął laską młynka.

III.

Tak to Krzyś trochę niedorzecznie zaplątał się w sprawę z ojcem. Za każdym razem, opuszczając dom, przyrzekał sobie, że nieprędko tam wróci. Nim jednak minął tydzień, sam nie wiedząc dlaczego, podążał do gajówki, choćby zanosiło się na zadymkę, albo sygnalizowano żandarmów.

Nie kochać kogoś bliskiego wymaga od pewnych serc takiego samego niemal wkładu uczuć i pracy wyobraźni, jak wtedy, kiedy kochają. To nic, że obecność i obcowanie z niekochanym nie wnoszą żywej radości, ale nie być przy nim jest wyrzutem trującym wolną chwilę, jakoże pamięć serca jest obciążona tamtym istnieniem.

Krzyś narzucił sobie miłość do ojca z popędu szlachetnej wyobraźni, która tak często wodzi rozrzutne natury ludzi i narodów na manowce niepotrzebnych ofiar. Miłość syna rozbudziła w biernej, sennej duszy Albina chwilowy rozkwit życia, który nie był mu przeznaczony. Szczęśliwy i znużony borykał się stary człowiek z trudem obcego sobie szczęścia.

W domu krępowało Krzysia uwielbianie Helenki. Powiększało zaś skrępowanie jej uderzające podobieństwo do matki. Wprawdzie sam się owego podobieństwa doszukiwał, śledząc najmniejszy ruch siostry, a znalazłszy je, żałośnie się łudził, jak nieraz w snach po to tylko, aby obudziwszy się z chwilowej ułudy wstać obrażonym na życie. Powtórzenie tego samego istnienia, a jednak nie tego samego, lecz jakby lichszą jego replikę, upokarzało jego ufność w sens istniejącego ładu. Właśnie podobieństwo Helenki do matki wynosiło w każdym prawie szczególe jedyność tamtego istnienia.

Zato prawdziwą, niemieszaną radością było przy każdym powrocie do domu powitanie Liszki, jej nieprzytomne skoki, radosne skomlenia, nieznużone szczęście, niewyczerpana potrzeba powtarzania raz jeszcze i jeszcze raz i jeszcze, jeszcze, bez końca, że jest dobrze. „No już, Liszka, już dość“ — bronił się z zawstydzeniem Krzyś. Ale to było hasło do nowych szaleństw psiej radości.

Albin cieszył się w pierwszych chwilach powitania, że Liszka tak hucznie okazuje radość, sam bowiem, chociaż dnie i noce trawił na oczekiwaniu syna, zawsze bywał zaskoczony jego zjawieniem się i jakby niegotów. Ale gdy mijało onieśmielenie, gdy wreszcie wracał ze swego pokoju przeczesany i wystrojony, markotniał, a nawet niecierpliwie łajał zziajaną Liszkę.

Od marca coraz rzadziej mógł Krzyś pokazywać się na Sydzynie. Nie minął dzień, żeby nie pojawiła się u niego grupa chłopaków. Przychodzili nieraz z daleka, a prawie każdy z nich ledwo się wymknął z rąk niemieckich, jeden z chaty podpalonej uszedł, inny z zadrutowanego wagonu wyskoczył. Wielu przychodziło, bo zasłyszało o nim. Sławny stał się Krzyś Wielgus nie tylko na rytwiańskim i staszowskim szlaku, ale i w jędrzejowskich i opatowskich stronach, pod Sandomierzem i Kielcami. Sławny z odwagi, fantazji i szczęścia wojennego, jak i z tego, że chłopcom na żadne swawole nie pozwalał. Chodził po swojej świętej kieleckiej ziemi promienny i wspaniały, z głową podniesioną, nie z pychy żadnej, ale z czujnego patrzenia, bo żył tak, jakby samo życie i przyglądanie się mogło być dla człowieka wystarczającą radością. Jedyną swawolą były figle płatane Niemcom. Nie mógł się uspokoić z uciechy, kiedy poszukując koni w Rytwianach natknął się na bryczkę barona von Schweinichen. Kazał mu oddać sobie rewolwer i zaprosił go, aby spokojnie wracał na piechotę do pałacu.

Cały Sichów bawił się osowiałą miną barona dźwigającego swoje olbrzymie cielsko po błocie. Ale ten właśnie niewinny figiel sprowadził nieszczęście na dom Wielgusów. Sam baron, syty drapieżnik, byłby może poniechał zemsty, może nawet byłby wszystko w żart obrócił, bo miał pewne poczucie humoru, a większą jeszcze niechęć do działania. Oddany był całkowicie dwom namiętnościom: zbieraniu sztychów, czym się chlubił, i obżarstwu, co usiłował zataiać. Najlepsze jednakże smaki pieczarek i madery, sarniny i burgunda zatruwało mu ciągle grożące zjawienie się Kralewskiego. Ledwie baron zasiadł do stołu i lekko pochyliwszy się, wciągał dymki ulubionych potraw, lub rumiany z podniecenia, przełykał pierwszy kąsek kuropatwy, gdy zjawiał się Herr Kralewski. Baron żółkł, prostował się w krześle, rzucał wściekłe spojrzenie w stronę Kralewskiego, nie prosił go siadać. Najchętniej byłby kazał lokajowi wyrzucić go za drzwi. Ale wiedział, że sprawy, z którymi Kralewski przychodzi, są nie tylko przykre, ale pilne i niebłahe.

Baron von Schweinichen głęboko wierzył, że piękne, urodzajne ziemie na wschód od Rzeszy zostaną uwolnione od tubylczej ludności. Wierzył w to z prostotą, jak w wiele innych prawd niemieckich. Oczywiście tych obszarów z Polaków było sprawą czasu, on sam nie chciał tego widzieć, nie chciał o tym pamiętać, to było rzeczą innych. Oddał ojczyźnie, co jej się należało, oczekiwał, że i ojczyzna spełni swoje. Dwaj jego synowie z pierwszego małżeństwa zginęli pod Benghazi, najmłodszy wrócił bez prawej ręki z Norwegii, ale nauczył się rysować lewą i projektował plakaty. Lubił tego syna i witał go zawsze obiadem własnego pomysłu.

A tymczasem Kralewski każe mu pamiętać, że dookoła w lasach mnożą się polskie bandy, że rabowane są kasy i zabijani żandarmi. Baron nienawidził Kralewskiego, jak prałat nienawidzi zelanta i neofitę. Nienawidził go, jakby to nie bandyci, ale właśnie Kralewski palił gorzelnie, uwalniał więźniów i mącił ustalający się ład niemiecki. Na sam widok wyprężonej postaci Kralewskiego przypominał sobie, że dokucza mu wątroba i lekarz grozi mu dietą. Ale ani wściekłość, ani wstręt nie były w stanie uwolnić barona od doradcy. Ulegał impetowi Kralewskiego, gdyż ten miał słuszność i warował, jak pies przy dobru niemieckim. Dlatego gdy zjawiał się Kralewski nawet w czasie obiadu baron dźwigał swoje studwunastokilowe cielsko z szerokiego, rzeźbionego krzesła holenderskiego i kroczył obrażony do kancelarii, gdzie dyktował telefony i listy. W rozmowach z Kralewskim miał niejasne i nieprzyjemne wrażenie, że powinienby zajmować raczej jego stanowisko.

Jak ksiądz Marcin przed siostrą Górecką, tak baron von Schweinichen poczuwał się do winy przed Kralewskim. Kiedy baron otrzymał z Krakowa duży portret Hitlera w złotych ramach, kazał powiesić go w kancelarii. Kralewski zauważył, że nowy portret powinien zawisnąć w bibliotece barona nad kominkiem. Nie pomogły usprawiedliwienia i zażenowane targi, baron musiał ustąpić. Stare sztychy poczdamskie zmieściły się między oknami, a nad kominkiem wyrosła postać Hitlera w partyjnym mundurze z świetlistym dyskretnym nimbem wkoło głowy.

IV.

Zły urok Kralewskiego fascynował nie tylko barona. Nie było w Sichowie domu, nie było posiłku, przy którym nie opowiadano by o Kralewskim. Między nim a wsią zadzierżgnął się dziwny i niebezpieczny stosunek. Kralewski przez zbyt długi czas był aktorem, aby nie być świadomym, że wieś go nienawidzi, ale mimo nienawiści czeka, na co jeszcze on się odważy. Strach i ciekawość okolicy podcinała złe ambicje Kralewskiego.

— Ja im pokażę. Zobaczę! — odgrażał się, gdy jakieś dziecko go nie pozdrowiło, lub kobieta nie zeszła mu dość szybko z drogi. Odgrażania się, które w ustach tylu ludzi znaczą zwykle pomstowanie i bezsilność, w ustach byłego aktora stawały się zapowiedzią zemsty. Marzył o zemście za dawną obojętną, niereagującą na jego grę widownię, za lekceważący grymas dyrektora, za złośliwe notatki recenzentów. „Ja im pokażę“ oznaczało: ja sobie dowiodę, co potrafię. Nienasycony był w nim głód odwetu za nieudane aktorstwo. Po latach, po przeżyciu grozy wojny czuł jeszcze chłód wiejący od mrocznej, nieprzyjaznej widowni. Zaczajony, zimny obłęd urażonej ambicji leżał w nim i powoli niweczył każdy odruch sumienia, wszelką wątpliwość. Nie mógł znieść tego, że zawiódł się na sobie samym. Obwiniał Polskę za nieudałe życie.

Kralewski występował przeważnie w sezonie letnim lub gdy główny aktor zachorował. Przez dziesięć lat mu to wystarczało, aż nagle przestało wystarczać, obraził się i opuścił teatr. Było to na kilka miesięcy przed wojną. Potem ktoś namówił go na handel z Niemcem, który miał wagony cukru na sprzedaż. — Im więcej cukru zostanie śród ludzi, tym lepiej — powiedział sobie Kralewski. Nadszedł czas, kiedy przypomniał sobie, że miał babkę Niemkę. Stał się volksdeuczem i otrzymał posadę w niemieckim zarządzie majątku w Sichowie. I wtedy odezwał się w Kralewskim niewyżyty aktor. Charakteryzował się na Niemca w najmniejszym szczególe. Nie tylko naśladował Niemców w ich kapeluszach, płaszczach, butach, ale patrzył i śmiał się po niemiecku, miał niemieckie wzięcie, duszę niemiecką.

Klął na polską pogodę, na drogi, na chłopów. Znienawidził widok łagodnych pól na pagórkach objętych lasami.

Jego rumiana twarz płonęła łuną złej krwi, a spaśne, błyszczące od tłuszczu policzki podnosiły się ku skroniom, zaganiając oczy w wąziutkie szparki, którymi błyszczało okrucieństwo i zła swawola. Długo owo szaleństwo burzyło się we krwi, a on nie odważał się mu pofolgować, aż się ważył. Uderzył pierwszy raz w życiu człowieka w twarz, po niemiecku. Uderzonym został mleczarz, Ludomir Łokieć, najłagodniejszy człowiek na świecie. Jechał wesoło, dzwo-

Już chyba tak wiecznie siedzi...

niąc pustymi blaszankami to dzwonienie właśnie rozdrażniło Kralewskiego. — Za co? Za co? — pytał Łokieć. Rozeszło się to po wsi i sichowscy ludzie patrzyli na Ludomira z zawstydzeniem, bo każdy trochę w jego osobie został sponiewierany.

A Kralewski chodził teraz całymi dniami po folwarku i po wsi i bił, kogo spotkał. Nadsłuchiwał, gdzie żarna dudnią, gdzie prosię kwiczy. Przyprowadzał żandarma i kazał aresztować gospodarzy. Jeśli był w lepszym humorze, dawał się przekupywać.

Z daleka gdy dojrzał dziewczynę niosącą koszyk, pędził przez pola, dopadał jak zwierzynę. On, któremu mleczarnie dostarczały bloków masła, zabierał komornicy najmniejszą osełkę, a jeśli nie zabierał, to rzucał na ziemię i rozdeptywał ze śmiechem. Dozorcy Jakubisiakowi, ojcu jedenaściorga dzieci, obie ręce połamał, kiedy go zastał śpiącego na nocnym stróżowaniu w parku.

Wszędzie go było pełno, nie tylko w Sichowie, ale w Staszowie i w Rytwianach; tu złapał kolejarza kolportującego gazetki, tam żydówkę ukrywającą się u zakonnic. Na dworcu w Szczucinie od jednego spojrzenia zgadywał, który z podróżnych wiezie dolary, złoto, tytoń. Rabował sklepy dobrodusznie i bezczelnie, każąc sobie zapakowywać to sztukę materii, to kawę i herbatę.

V.

Kiedy Kralewski dowiedział się, że baron Schweinichen zmuszony został wrócić na piechotę z Rytwian, bez rewolweru, wyszedł do parku i przechadzał się po świeżo wyżwirowanych alejach. Był w jakimś niezwykłym stanie podniecenia. Najdziwniejsze obrazy oślepiały mu mózg. Drażniła go krosta na nosie czerwonym i opuchniętym; aż zezował przez nią.

Baron podchodził do okna i spoglądał na Kralewskiego przez koronkową firankę, zrabowaną w pałacu tureńskim. Bał się tego człowieka. Wstydził się, że oddał potulnie rewolwer, że się nie bronił. Ale stało się to tak szybko, a chłopak był tak promiennie piękny. Pierwszy raz spotkał się z polskim bandytą. Te złote włosy, ta szlachetna, mężna twarz, jasne spojrzenie! Jakieś upojenie i spokój były w tym chłopcu. Barona prześladowała myśl, że już go gdzieś widział. Zadumał się. Naturalnie, przecież to twarz Aleksandra Wielkiego. Podszedł do półki i wyciągnął tom sztuki greckiej. Pogładził palcami jedwabisty papier ilustracji. — So — mruknął i westchnął. Zimno zjeżyło mu skórę. Znowu wątroba. Podniósł głowę niespokojnie. Naprzeciw siebie zobaczył portret Hitlera. Uczucie lęku, zakłopotania ścisnęły zatłuszczone serce. Znowu front się przesunął o stotrzydzieści kilometrów bliżej Sichowa. Ale i tak ta wojna musi się dobrze skończyć, bo inaczej... Baron zatrząsł się z zimna — zakrył twarz rękami i pocierał czoło, jak zawsze, gdy był zdenerwowany. Chciał odpędzić pamięć wczorajszego snu, ale zły sen truł go, jak niestrawione jedzenie.

Tymczasem Kralewski doszedł do oranżerii. Spotkał Górecką. Szła z rękami złożonymi na brzuchu i poruszała nerwowo ustami, jakby coś żuła. Skłonił się jej. Ta kobieta była jedyną istotą w Sichowie, budzącą w nim pewien respekt. Szła sztywno, żółta, siwa, niebojąca się i pokorna równocześnie, a za nią sunął ksiądz Marcin w drewniakach, z twarzą podniesioną do góry, jak ślepiec. Co ten tu robi na terenie parku? Już zamierzał go o to brutalnie zapytać, kiedy zabiegł mu drogę śmieszny płowy szczeniak. Kralewski zdumiał się, bo wydał był rozkaz, aby nikt na folwarku nie ważył się trzymać psów.

A psiak szczekał, zadowolony z rannego słońca, przewracał się na śniegu, podskakiwał aż do kolan Kralewskiego. Z oranżerii wyszedł chłopiec chudy i piegowaty z grabiami w ręku. Popatrzył z trwogą na Kralewskiego.

(Dokończenie w następnym numerze).

cjalistów, toteż udział ich staje się coraz to bardziej aktualny i ważki.

Rada Naukowa dla Zagadnień Ziem Odzyskanych odbyła pierwszą swą sesję w lipcu 1945 r. W tematyce obrad zajęły wówczas plan pierwszy zagadnienia osiedleńcze. Ustalono ogólne zadania Rady i wytyczono program dalszych jej prac. Na tle chaosu, w którym znajdowała się Polska w pierwszych miesiącach po zakończeniu działań wojennych, w obliczu strat poniesionych przez kulturę naszą w czasie okupacji, przy zdezorganizowaniu ówczesnym życia naukowego — plon sesji pierwszej przyniósł chlubę nauce polskiej. Wygłoszono 14 gruntownie opracowanych referatów, stanowiących wraz z dyskusją, w druku publikację 500-stronicową. W okresie powojennym nie było drugiego wypadku, by zorganizowano tak szybko i sprawnie jakieś ciało naukowe o charakterze społecznym, liczące tylu członków i mogące się wykazać tak bogatym dorobkiem. Polskie koła naukowe zdały sobie od razu sprawę z tego, że w hierarchii zadań, obowiązujących społeczeństwo nasze po wojnie, na pierwszym miejscu znajduje się sprawa zaludnienia i zagospodarowania terenów nowych.

Na czoło deklaracji zbiorowej wysunięto postulat następujący:

„Pierwsza sesja Rady Naukowej dla Zagadnień Ziem Odzyskanych uznaje integralne włączenie ziem nad Odrą i Nysą do Rzeczypospolitej za zadanie najwyższej wagi dziejowej, decydujące o bycie i niebycie państwa i narodu Polskiego i o roli Polski jako trwałego przedmurza Słowiańszczyzny przed naporem germańskim“.

W sesji drugiej, odbytej w grudniu 1945 r., zwrócono wysiłek zbiorowy uczestników ku zagadnieniu unormowania struktury agrarnej Ziem Odzyskanych; rozważano również problemy organizacyjne osadnictwa miejskiego. Referatów wygłoszono tu już 22.

Sesja trzecia, obradująca w czerwcu 1946 r., zajęła się intensywnie sprawą planowania gospodarczego i przestrzennego, w ścisłym kontakcie z Głównym Urzędem Planowania Przestrzennego i z Centralnym Urzędem Planowania. Poruszono również szereg ważnych zagadnień kulturalnych i socjologicznych. Liczba referatów wzrosła do 39. Szczególne zainteresowanie budziły referaty z działu regionalnego osadnictwa rolniczego, oparte na materiałach, zebranych w terenie, a przez to ukazujące aspekt istotny naszego osadnictwa na zachodzie.

Sesja czwarta, zwołana w grudniu 1946 r., skupiła swe wysiłki na analizie zmian, zaszłych w układzie terytorialnym Polski, oraz na formułowaniu wniosków i postulatów, wynikających stąd dla naszego gospodarstwa narodowego.

Otwierając obrady tej sesji, przewodniczący wiceminister Ziem Odzyskanych, Władysław Wolski powiedział co następuje:

„Nadszedł termin, gdy sprawy naszej granicy zachodniej stają na forum międzynarodowym dla nadania im ostatecznych form prawnych. Decyzje poczdamskie sprecyzowały to zagadnienie jasno i wyraźnie stwierdzając, że konferencja pokojowa ustali ostateczną delimitację naszej granicy“.

Nie Ziemie Odzyskane winny być więc przedmiotem decyzji, a dokładne wytyczenie samej linii granicznej. Ale na linii granicznej jest szereg problemów bardzo ważnych...

... Akcję zaludnienia i zagospodarowania Ziem Odzyskanych rozpoczęliśmy, zanim świat naukowy mógł nam przyjść z pomocą. Powołując... Radę Naukową, która przyjęła charakter sejmu uczonych dla Zagadnień Ziem Odzyskanych, uzyskaliśmy taki instrument w przeprowadzanej akcji, że uniknęliśmy poważnych błędów, a osiągnięte w krótkim czasie rezultaty naprawdę mogą zadziwić świat“.

Andrzej Rybicki

Wojciech Żukrowski

Przygoda wewnętrzna

Żałuję, że przeczytałem zanim zabrałem się do porządkowania mych sondowań o „Sprzysiężeniu“,*) recenzję Gołubiewa w „Tygodniku Powszechnym“, gdyż mimowoli pisząc te zdania muszę z jego uwagami polemizować. O ile mogę się domyśleć dość ścisłych związków Kisielewskiego z komitetem redakcyjnym „Tygodnika“, którego członkiem jest i p. Gołubiew, sąd jego zdecydowanie negatywny, raczej mi zaimponował jako przełamanie solidarności klikowej i związków koleżeńskich, nie znaczy to bynajmniej, że „Sprzysiężenie“ jest książką — mimo, że poprzedziła je fama skandalu, — z którą niewiadomo co zrobić. Tę minę, bez zapalnika, mającą według zapowiedzi zrobić wyłom w murach katolickich, łatwo jest rozładować.

My katolicy jesteśmy dosyć tolerancyjni, choć ostrożni w sądach. Ale gdyby zastosowanie narzędzi poznawczych z dziedziny etyki i moralności, prowadzące w konsekwencjach do potępienia autora, miało pociągnąć za sobą dalsze odsunięcie go od frontu katolickiego, byłbym niepocieszony.

Zrozumiałem jest, że dla opasłych katabasów szukających w „Tygodniku“ jedynie potwierdzenia przeżutych w młodości pojęć i osądów, — dla poczciwców i dewotek, musiano takie anathema rzucić. Celowość takiego posunięcia rozumiem, ale nie pochwalam, bo poco wtykać tę ciekawą książkę w ręce przeciwników, jak rozkoszną sposobność do dywersji.

Muszę zacząć od jak najzwięźlejszego podania fabuły, by bezbłędność mego rozumowania mogła być skontrolowana i przez czytelnika, który tej książki nie miał w ręce.

Trzej gimnazjaliści Zygmunt, Henryk i Stefan, w okresie dojrzewania, wybitnie uzdolnieni, górujący intelektem nad resztą klasy, chcąc przełamać konwenans zainteresowania się kobietami, mechanizm ciekawości i pogoń za pierwszymi doznaniami, z których zwierzają im się koledzy — składają przysięgę, że zachowają czystość. Czystość z pychy i buntu. Dwom przechodzi to łatwo, bo Henryk jest trochę przerasowanym degeneratem, paranikiem o nawrotach okresowych zaburzeń, zresztą spokojny i w miesiącach lucidalnych uciszeń pracuje, czy też snuje projekty wielkiej twórczości. Stefan, muzyk, co do którego autor zdecydowanie podsuwa sugestię pederastii, ma wąską dziedzinę twórczości muzycznej, pracuje. Nigdy geniuszem nie będzie. Dla jednego Zygmunta przysięga jest gwałtem psychicznym, powoduje zawężenie, którego narazie nie odczuwa.

Możliwość pozaprzyjacielskiego zbliżenia, poderotyzowanie przyjaźni między Stefanem a Henrykiem rzuca cień na trójprzymierze. Wywołuje dodatkowy niepokój u Zygmunta i podświadomą zazdrość. Po maturze przyjaciele rozchodzą się.

I tu zaczyna się ciekawa przygoda wewnętrzna. Zygmunt jak każdy normalny młodzieniec zakochuje się (w Tamarze, Rosjance). Jest ciągle jeszcze potens. Przysięga pozornie przełamana rozumowaniem opóźnia jedynie chwilę utraty niewinności. Dopiero kiedy wyjazd Zygmunta nie pozwala mu na dobrnięcie do łóżka zaczyna się dramat. Zygmunt traci Tamarę, więc zły na siebie, przeciw zawiedzionej miłości, no i przysiędze, postanawia posiąść pierwszą dostępną mu kobietę. I tu spotyka go zawód. Pomimo wielokrotnych prób okazuje się impotentem. Lekarz nie znajduje przyczyn fizycznych, nie pomaga. Zaburzenie tkwi w psychice Zygmunta.

Przygoda się zaczyna, są to najpyszniejsze w swym demoniźmie karty tej książki. Najlepszy mikroskop, najtroskliwsze konsylium nie wyśledzi schorzeń Zygmunta. Napozór jest całkowicie normalny, taki jak wszyscy. Reszta mechanizmu działa, tylko ten jeden wycinek pozostaje białą plamą na mapie, nie zarysowaną doznaniami. Skaza ta wypacza go nieznacznie, choć nawet w dziedzinie krytyki literackiej, którą Zygmunt uprawia, daje mu pewną przewagę i dystans, ułatwia odrębność twórczości.

Zygmunt przeżywa swój defekt bardzo boleśnie, mimo pozornego pogodzenia. Szuka narkotyków w długich spacerach i alkoholu. Wódce poświęcił autor kilka trafnych obserwacji, świetnie zarysowując stany alkoholizacji. Męczy Zygmunta lęk przed kompromitacją, przed ujawnieniem braków; by zamaskować się, otacza się kobietami, flirtuje, wreszcie się zaręcza. Przedłużające się narzeczeństwo staje się dla niego parawanem.

Henryk powraca z zagranicy i wciąga pośrednio Zygmunta w maniakalną próbę zamachu na Hitlera. To są wątki uboczne dorzucone wyraźnie dla czytelnika.

Nas interesuje przygoda wewnętrzna Zygmunta. Wybucha wojna. Zygmunt bierze udział w wędrówce narodów ścigając wojsko i R. K. U. Dopędza armię w chwili rozkładu. Ten miesiąc nonsensownych działań forsownych marszów, pomyłek, które kończą się rodzajem rozumnej dezercji, stawia Zygmunta na równym poziomie z innymi mężczyznami. W drodze powrotnej do Warszawy, na przygodnym postoju w plebanii, w łóżko jego spada półprzytomne dziewczę, wdowa z jednodniowego małżeństwa (non consumatum) i Zygmunt staje się pełnym mężczyzną. Książka kończy się akordem niespodziewanego optymizmu. Polska upadła, armia rozlazła się, ale uleczył się Zygmunt i teraz on dopiero pokaże co potrafi. To byłoby i wszystko.

Tym materiałem będę operował w dalszym toku rozważania i obiecuję, że nic nie wyciągnę z zanadrza. Problem Zygmunta wart jest książki. Ten typ schorzenia rzadko pojawia się jako motyw literacki, choć jest dziedziną niemniej ciekawą niż inne sfery życia płciowego. Zwłaszcza dzisiaj, jak mówią neorolodzy, gdy wojna rozpętała tyle neuroz, nadspodziewanie wielu mężczyzn zawodzi potencjalnie, gdy odwrotnie kobiety ulegają raczej heteryzacji. Casus Zygmunta nie jest odosobniony i tym ciekawszy, że nie wynika ze schorzeń starczych, ale z zakłócenia psychicznego, z zahamowania, w każdej chwili mogącego ustąpić.

Całe studium Kisielewskiego (360 stron, gęsto bitych) jest właściwie odważną spowiedzią Zygmunta, wyznaniem tajonego pod sercem zawodu. Karty dotyczące poszukiwań węzła psychicznego,

cieniujące ledwie zarysowaną przepaść między widzeniem świata przez **normalnych** a Zygmuntem, należą do najgłębszych, najsubtelniejszych analiz. Karty te mają wartość nieledwie dokumentu naukowego. Organy naszego ciała wtedy są w idealnym porządku, kiedy ich nie zauważamy. Gdy już wiemy, że jesteśmy ich posiadaczami, zaczyna się stan chorobowy. Pozornie paradoksalne sformułowanie p. Gołubiewa, że Polska upada by Zygmunta wyzwolić, że wszystko obraca się dokoła jego niedoboru, jest właśnie jeszcze jednym dowodem mistrzowskiego pochwycenia zaburzeń psychicznych, bo właśnie przez pryzmat swego defektu widzi on świat, to jest soczewka skupiająca, a zarazem źródło deformacji. Począwszy od gadatliwości Zygmunta, po jego subtelnostki, od nieustannej samokontroli, po męczarnie lęku, zarysowuje Kisielewski prawdziwy obraz schorzenia.

Właśnie ten lęk przed ośmieszeniem determinuje uległość Zygmunta wobec brutalnego, prostackiego Lewandowskiego. P. Gołubiew niesłusznie robi zarzut Autorowi, że nie znalazł dla Zygmunta wykrętu logicznej odmowy i dał się bezwolnie powlec Lewandowskiemu do domu publicznego. On nie mógł znaleźć odpowiedzi, nie mógł dać żadnej **męskiej odprawy** — bojąc się, że to go demaskuje, Zygmunt sam wydaje się w ręce szantażysty. — To właśnie jest psychologicznie trafne. Zarzuty z dziedziny etyki nie mogą tu wchodzić w grę, gdyż Kisielewski umyślnie usuwa całą sferę przeżyć etyczno religijnych, ograniczając się do psychofizjologii, dzięki temu otrzymujemy czyste studium kliniczne, rysunek nieledwie bezbłędny.

Dlaczego Zygmunt nie przerwał swej samotności, nie skorzystał ze spowiedzi, jeżeli weźmiemy tylko jej psychoterapijną skuteczność? Nie mógł on naruszyć wstydliwego sekretu, bo z czego miał się spowiadać? Z niedopełnionego grzechu, omówić swe zawody i intencje? Opowiadanie o niedoszłych próbach byłoby formą psychicznej onanii, zresztą właściwej dewotkom, właśnie perwersji, której p. Gołubiew mylnie się dopatruje w przygotowawczej grze erotycznej z Tamarą.

Mam wrażenie, że wielkim wyrzeczeniem ze strony Kisielewskiego przy jego ironii i sarkaźmie, było wyeliminowanie z powieści Boga. Zygmunt na pewno sto razy żebrał o cud i nic — (nie chcę tu powiedzieć paradoksalnie, że Kisielewski dlatego usunął Boga by nie wykazać Jego bezsilności w sprawie Zygmunta. Bezsilności zupełnie zrozumiałej, bo Zygmunt nie był przygotowany na ten rodzaj wyzwolin, nie dojrzał wewnętrznie do cudu (?). Założenie jest jedno, które podaje na początku lekarz — **Zygmunt musi się sam uleczyć.** Dlatego tak czujnie śledzi strumień swych myśli, rejestruje swe stany uczuciowe, szuka tropu naprowadzającego na drogę uwolnienia.

Nie zapominajmy, że Zygmunt jest zaklętym królewiczem, który z zamkniętymi oczami czeka na zbliżenie się kobiety, na pocałunek przebudzenia.

Zygmunt szuka oszołomienia w alkoholu, oszołomień, ale nie zatraty. Wie, że po iluś tam następuje zatarcie czystej artykulacji, milczy odprowadzając narzeczoną, ale nie może powstrzymać się od dopicia, dojścia do tej granicy, za którą zaczyna się pogodne, przyjazne rozjaśnienie. Upijanie się jest przedstawione zbyt sympatycznie, wyidealizowane, bez tej ostrości, jaka cechuje resztę rysunku psychicznego.

Tu jest wyraźna poetyzacja nawet czarno biały tok narracji, nie zmierzającej do stwarzania obrazów — ożywia metafora — „zielonawy płomień wódki“. Czy Kisielewski ma prawo pisać tak o pijaństwie, mógłbym sprawdzić prostymi testami. Kilka z nich rzucę:

1. Czy odczuwa Pan **dojmujący ból** na widok wódki spaskudzonej podłą doprawką?
2. Czy **dziś pijąc** tego, może Pan **z przyjemnością** myśleć o **jutrzejszym spotkaniu** również mocno **zakropionym?**
3. Czy cierpi Pan widząc gości jak piją maleńkimi kieliszkami i żrą rozpychając kałdun, opóźniając to na co Pan tak **zniecierpliwiony czeka?**
4. Czy wiedząc, że wódki na przyjęciu jest wbród, odczuwa Pan **nagły lęk,** że może i dla Pana braknąć na rausza.
5. Czy zdarzyło się Panu **złamać konwenans towarzyski,** wstać od stołu porzucając sąsiadkę, i wyjść do przedpokoju, **by dopić** z przyniesionej przezornie butelki? itd.

Odpowiedzi twierdzące **wykazały** by znawstwo tajników pijackich i świadczyły zarazem o niepokojącej dla mnie dyskrecji autora. Bo skoro już tyle rzetelnie rysuję, to czemu nie resztę.

Cała powieść dzieje się **między okiem i uchem,** wyłącza obraz świata zewnętrznego, „obiektywny“. Stąd wszystko w relacjach pośrednich, odrzucenie dialogów, ogromne niemiłe dla oka bloki drukowanych kart. Pomijając świat wewnętrzny Zygmunta, oglądając kampanię wrześniową jego oczami, musimy go rozgrzeszyć, musimy przyznać, że jest wart **uwolnienia od uroku.**

Szyderczy opis kampanii **wrześniowej** potępia Gołubiew, nazywając fałszywym, a Matuszewski w „Kuźnicy“ wychwala przeciwstawiając mojej „Lotnej“. Obaj nie mogą pojąć, że te dwa opisy wojny są dopełniającymi. Inne są przeżycia cywila ścigającego R. K. U. zaplątanego w bałagan tyłu, a zupełnie inne żołnierza zmobilizowanego zawczasu przechodzącego z akcji do akcji.

Oba widzenia są prawdziwe — wrzesień walki i bohaterstwa i ten wrzesień słabości, niedołęstwa i głupoty.

Sprawdzenie odczarowania Zygmunta ułatwia wdowa z jednodniowego małżeństwa. Psychologicznie oddanie się jej można łatwo wytłumaczyć, czeka ona powrotu męża poległego, wypatruje go w fali rozproszonych żołnierzy. Właściwie biorąc od strony zakłóceń psychicznych mądra natura (?) podsuwa dziewiczą wdowę Zygmuntowi, czyniąc zarazem z niego narzędzie. Wzajemnie uwalniają się z kompleksów. Nie jest to najprzyjemniejsze rozwiązanie, mimo to cały wywód „o nadużyciu nieprzytomnej dziewczyny“ jest naciągnięty, jakby z kodeksu Boziewicza.

Ale od momentów końcowych, poczynają się poślizgnięcia. Pierwszą pomyłką, choć po malejącej ilości wart czułem bliskie rozwiązanie, jest pozostanie Zygmunta w stodole, gdy reszta towarzyszy idzie na pierwszą porządną popijawkę. Dlaczego został, skoro autor stale podkreśla, że Zygmunt tak lubi wódkę?

Po drugie zdecydowanym błędem jest końcowa zapowiedź wielkich czynów, wspaniałej działalności, jaka nastąpi po odczarowaniu. Zygmunt żadnych wielkich prac nie podejmie, nie jest typem działacza tylko mózgowca.

Jeżeli mogę podsuwać własną koncepcję zakończenia proponowałbym: autor spotyka Zygmunta po powrocie z kampanii wrześniowej. Piją wódkę. Zygmunt z właściwą sobie ironią zwierza się z przebytego cierpienia, dziwiąc się samemu, że tak długo temu urokowi ulegał. Sam autor nie bardzo Zygmuntowi dowierza, bo ten przecież ożenił się z Joanną i ma dziecko. Można by jeszcze (rzecz dzieje się w czasie wojny) dodać, że intensywnie pracuje w konspiracji.

Te wielkie nadzieje Zygmunta budzą we mnie niepokój, że całe te optymistyczne zakończenie zostało sztucznie doszyte dla uspokojenia czytelnika, a Zygmunt został nadal impotentem.

Nie ma tematów złych, wszystko zależy od tego, jak zostały rozpracowane. Książka Kisielewskiego napisana jako ciekawy eksperyment literacki może budzić wydźwięk niesympatyczny, ale kategorycznie potępianie jej jest wyraźną przesadą. Wewnętrzna przygoda Zygmunta jest na prawdę pasjonującą lekturą. Wdzieramy się w cudze tajemnice, w najbardziej poufne sekrety; książka Kisielewskiego jest właściwie plotkarska, ale plotka jest doprowadzona do czystości naukowej. Umieściłbym ją w pobliżu uroczej ekshibicji Dygata.

Lawinowy tok myślenia, gadatliwość, wielokrotne nawroty zmierzające do jak najwierniejszego wyrażenia stanów psychicznych Zygmunta, jego egocentryzm, mimo iskrzących się sformułowań na dłuższą metę męczą. Książka zyskałaby, na skróceniu.

Wojciech Żukrowski

*) Stefan Kisielewski: **Sprzysiężenie.** Powieść Panteon. Warszawa 1947. Stron 367.

Tydzień Wrocławia

21. I. — 4. II. 1947 r.

ŻYCIE MUZYCZNE

25. I. VII koncert symfoniczny Filharmonii Wrocławskiej pod dyrekcją Stefana Syryłły, z udziałem Olgi Łada (śpiew). W programie VI symfonia (patetyczna) Czajkowskiego, uwertura do opery „Oberon“ Webera oraz 4 pieśni Witolda Kałki-Rowickiego.
2. II. VIII koncert symfoniczny Filharmonii Wrocławskiej, pod dyrekcją Stanisława Skrowaczewskiego, z udziałem Bronisławy Rotsztatówny (skrzypce). W programie koncert skrzypcowy Mendelsohna, I symfonia Stanisława Skrowaczewskiego oraz uwertura do „Uprowadzenia z Seraju“ Mozarta.

ŻYCIE LITERACKIE

23. I. Odbył się 40-ty „Czwartek literacki“ Towarzystwa Przyjaciół Języka i Literatury Polskiej, na którym przybyły z Poznania prof. dr. Zygmunt Szweykowski wygłosił odczyt pt. „Walka Prusa o wielkość i realizm w życiu narodu“.
30. I. odbył się 41-szy „Czwartek literacki“; dr. Franciszek Pajączkowski wygłosił „Gawędę o dawnym karnawale“.

ŻYCIE NAUKOWE

24. I. 27-me zebranie Polskiego Towarzystwa Matematycznego, na którym prof. dr. B. Knaster przedstawił swoje wrażenia z podróży naukowej do Pragi i Brna.
24. I. zebranie Towarzystwa Miłośników Historii, na którym prof. prof. Maleczyński i Czapliński wygłosili prelekcje na temat książki Feldmana „Problem polsko-niemiecki w dziejach“.
26. I. zebranie Towarzystwa Miłośników Języka Polskiego, na którym dr. Stanisław Bąk wygłosił odczyt pt. „Autochtoni na Dolnym Śląsku i ich język“.

Tydzień Katowic

27. I. — 4. II. 1947 r.

ŻYCIE LITERACKIE I NAUKOWE

27. I. Wieczór Klubu Literackiego. Z okazji 2-giej rocznicy oswobodzenia Katowic wieczór poświęcono współczesnej poezji śląskiej. Własne utwory recytowali: Jan Baranowicz, Aleksander Baumgardten, Wilhelm Szewczyk, Aleksander Widera, Janina Zabierzewska, Włodzimierz Żelechowski i Wojciech Żukrowski. Ponadto wiersze Pawła Kubisza i Edmunda Osmańczyka czytał art. dram. Stefan Rydel.
31. I. Posiedzenie Naukowe Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Odczyt dra Zygmunta Zawirskiego pt.: „Współczesne kierunki filozofii“.
1. II. Studio literackie. Jerzy Zagórski: „Współczesna literatura polska na tle poezji włoskiej“.
3. II. Wieczór Klubu Literackiego. Maria Kasprowiczowa odczytała fragmenty z Pamiętników. Wstęp: Prelekcja J. Kucharskiego.

WYSTAWY I POKAZY

28. I. Otwarcie Wystawy: Czechosłowacja w latach 1939 — 1945. Pokaz filmu czeskiego: „Mężczyźni bez skrzydeł“.
1. II. Otwarcie wystawy fotografiki krajoznawczej i dokumentarnej Józefa Dandy.

Franciszek Pajączkowski

Z diariusza pewnej wycieczki

PEWNEGO pięknego lipcowego dnia 1868 r. ulice Wrocławia zaroiły się kolorową gromadą, która szczególnie kontrastowo odbijała od szarego tłumu wrocławskiego. W barwnych kontuszach i żupanach, w deliach i czamarach pojawili się na ulicach Wrocławia w powrocie z Poznania uczestnicy wycieczki lwowskiego Sokoła, wycieczki specjalnym pociągiem, zwanym wówczas pociągiem towarzyskim, prototypem znanych nam już dobrze pociągów popularnych.

W pierwszych dniach lipca 1868 roku doszła nareszcie do skutku, od paru tygodni przygotowywana i zapowiadana wycieczka towarzyskim pociągiem ze Lwowa do Poznania.

Pociąg taki nie był nowością. Już bowiem i w poprzednim roku urządzano podobne wyprawy do Lublina, Przemyśla, Krakowa. Nowością był wyjazd „zagranicę".

Wreszcie 5 lipca 1868 r. wyruszył ze Lwowa osobny pociąg, uwożąc około 250 uczestników wycieczki pod przewodnictwem Jana Dobrzańskiego, prezesa Sokoła i redaktora, polityka i dyrektora teatru. Ciekawi nas, kto brał udział w wycieczce, jakie sfery społeczne były reprezentowane. Z literatów poza Dobrzańskim wiemy na pewno o Władysławie Łozińskiem, był zdaje się i Wincenty Pol. Poza tym przedstawiciele ziemiaństwa, dość liczne mieszczaństwo, przedstawiciele duchowieństwa. Nauczycielstwo skarżyło sie, iż nie mogło wziąć udziału w wycieczce, która wypadła w gorącym czasie zakończenia roku szkolnego i egzaminów. Celem wycieczki było nawiązanie stosunków z Polakami na zachodzie, zacieśnienie więzów między rodakami z różnych zaborów, odwiedziny braci w ich domu i na ich ziemi. Uczestnicy wycieczki przeważnie przybrali polskie stroje.

Już po drodze w Jarosławiu witano pociąg wycieczkowy moździerzami, w Rzeszowie wspaniale iluminowanym dworcem. W Krakowie postój trwał dłużej, gdyż dopiero tutaj otrzymano zbiorowy paszport. Z Krakowa ruszono na Śląsk, ogół wycieczkowców pierwszy raz znalazł się na uprzemysłowionym terenie, toteż wrażenie było duże. Oto co pisze jeden z uczestników: „Trudno, bardzo trudno opisać wrażenie, jakie wywiera na nas widok przemysłowości, wszędzie widomej na Śląsku. Sentymentalnej poezji tu nie ma, błękit zginął w szarych chmurach dymu z węgli kamiennych, krasa przyrody niknie, napiętnowana tysiącami wysokich kominów, ale masz tu poezję czynu, która znamionować powinna człowieka."

Wreszcie stacja graniczna między Austrią a Prusami — Mysłowice. O pobycie wycieczki w Mysłowicach pisała „Breslauer Zeitung": „Wczoraj o godzinie 11 przed południem przybyło ze Lwowa do Mysłowic przez Kraków około 250 sokołów. Po godzinie odpoczynku pojechali przez Wrocław do Poznania. Bardzo interesujący widok — pisze dalej „Breslauer Zeitung" — dawały pełne wyrazu, zajmujące twarze i malownicze stroje narodowe podróżnych. Tuteisi turnerzy zgromadzili sie także na dworcu kolei, nie można było jednak myśleć o uroczystym przyjęciu dla zbyt wielkiego natłoku."

Wzruszająca niespodzianka oczekiwała uczestników w Opolu. Oto studenci Polacy ze szkoły gospodarczej wyszli na dworzec kolejowy, by powitać przejezdnych rodaków. Jeden ze studentów przemówił, kończąc zapewnieniem, że wytrwają na stanowisku obrony praw przyrodzonych, że polskości nie wyrwie im z duszy ani wyższa cywilizacja ani żadna przemoc. Odpowiedziano serdecznie z grona wycieczki, zapewniając jak drodzy są sercu polskiemu. Cześć młodzieży polskiej w Opolu!

Bardzo złym okiem patrzyły na te polskie manifestacje władze pruskie, które postanowiły nie dopuścić we Wrocławiu do jakiegokolwiek powitania. Policja obstawiła dworzec, nie dopuszczając nikogo na perony. Mimo to garstka studentów polskich przedarła się przez kordony, pociąg jednak we Wrocławiu zupełnie się nie zatrzymał. Ci, którzy dostali się na peron skinieniem ręki witali przejeżdżający pośpiesznie pociąg. Nie pozwalają nam powitać was — wołano. Z przykrym uczuciem wyjeżdżano z Wrocławia. „W głosach czuło się tyle smutku i cichej boleści, żeśmy poznali w czym ich niedola, w czym męka serca. Uścisku ręki nam bronią, powitania słowem" — skarży się jeden z uczestników.

Od Wrocławia do Poznania pociąg zatrzymał się tylko jeden raz. Na dworcach wszędzie stały tłumy, witające lwowski pociąg. Do Poznania przyjechano o 11 w nocy. Cały dworzec i plac przed dworcem zapełnione były tłumami publiczności. Okrzykom i powitaniom nie było końca. Wygłoszono szereg powitalnych przemówień, odpowiedział Dobrzański. Gości lwowskich wprost rozchwytano i goszczono najserdeczniej. Na drugi dzień odbyła się w katedrze uroczysta suma, po czym obiad na 600 osób. Pierwszy przemówił sędziwy Libelt, następnie mówili Niegolewski, Kantak, delegat Pomorza — Danielewski, z wycieczki lwowskiej Dobrzański, Darowski, Wład. Łoziński i in.

W drodze powrotnej nastąpiła niespodzianka nad niespodzianki. Pozwolono na parę godzin zatrzymać pociąg we Wrocławiu! I oto pewnego pięknego dnia lipcowego 1868 r. parę set osób w narodowych polskich strojach, które już w Mysłowicach podziwiała „Breslauer Zeitung" — wysiadło na wrocławskim dworcu i udało się na zwiedzanie miasta. Rolę przewodników objęli Polacy studenci, uniwersytetu wrocławskiego, którzy nareszcie mogli powitać rodaków.

Jeden z uczestników wycieczki (może i sam Jan Dobrzański) skreślił w „Gazecie Narodowej" swoje wrażenia z pobytu we Wrocławiu. Zalicza więc Wrocław do najpiękniejszych miast w Europie. Zachwyca się przede wszystkim starym miastem: „Gdy wejdziesz na Stary Rynek i w ulice przyległe aż po Odrę, zdawać ci się będzie, że do nowego wszedłeś Herkulanum — do miasta, które pod ziemi leżąc powierzchnią, dziś wyszło ze swej osłony." Ratusz i kościół św. Elżbiety szczególny wywołują podziw. Gromada większa wychodzi na wieżę kościoła św. Elżbiety, zachwycając się wspaniałym widokiem. Starymi ciasnymi uliczkami wychodzą na uniwersytet, o którym autor pisze: „Co za gmach imponujący, ile tu powagi i połączonego z nią piękna."

Następnie spacer na wyspę, zwiedzanie katedry. „Piękno, piękno wszędzie, a takie dawne przeświecają zeń wieki, że oczy przecierasz. Sen? Ułuda? Nie — to rzeczywistość..." egzaltuje się autor.

Nowy Wrocław również znajduje słowa uznania za to, że bogacze wrocławscy starali się, by pudełka, które służą za mieszkanie, były możliwie piękne.

O Polakach i polskości Wrocławia pisze nieznany autor następująco: **„Polaków jest parę tysięcy, znajdują się liczne magazyny z napisami polskimi a w każdym handlu jest subiekt mówiący po polsku. Na uniwersytecie blisko 1000 studentów, a do 100 Polaków, którzy mają Towarzystwo literacko-słowiańskie."**

Kilka godzin spędzonych na wędrówce po Wrocławiu w towarzystwie polskich studentów przeszło szybko. Nadszedł czas powrotu na dworzec i odjazdu. Pożegnanie ze studentami wrocławskimi było niezwykle serdeczne: „nie wiele czasu wystarczyło, byśmy się pokochali szczerze i rozstali jak na długo żegnający bracia."

Opuszczano Wrocław i ziemie zachodnie ze wzruszeniem i z okrzykiem: Do widzenia bracia z nad Bałtyku, Warty i Odry!

Franciszek Pajączkowski

Teatr Opolski

Percinet i Sylwetta.

„Romantyczni", komedia w 3 aktach, Edmunda Rostanda. Przekład L. Belmonta. Reżyseria Stanisława Staśki.

Teatr w Opolu podołał trudnym wymaganiom Rostanda. Przedstawienie „Romantycznych" było pod każdym względem widowiskiem wartościowym, opracowanym starannie i z pietyzmem. Zespół grał na ogół popisowo, sytuacje wiązały się w sposób „zorganizowany", całość nosi cechy „roboty" wykończonej, pełnej i pięknej.

Rolę Sylwetty odtworzyła Krystyna Wydrzyńska. „Gdybym był młodszy, dziewczyno, gdybym był młodszy", dałbym tej utalentowanej artystce najśliczniejsze kwiaty; grała pięknie i dała w tej roli cały zasób wdzięku i tkliwości. Rozmiłowanym w „onej", Percinetem, był młody, sympatyczny aktor, o miłej barwie głosu, lecz nieromantycznym nazwisku: **Żyła.** Rolami ojców i reputacją dobrego wykonania tych ról podzielili się **Stanisław Posiadłowski i Bay Rydzewski** (Pasquinot i Bergamin), a prawdziwą wiosnę na scenie wyczarował dekorator **Marian Łańcucki.** Zawodził jedynie Jabłoński (Straforel), zdolny aktor charakterystyczny, dziś stremowany, apatyczny i nikły.

Sztuka ma wysoki walor dydaktyczny, zorganizowano więc przedstawienie dla młodzieży. To dobrze! Niechże się uczy rozsądku w miłości i niech jej szuka w usankcjonowanym szczerością uczuciu. Nauka piękna, mądra i potrzebna.

Wincenty Hlouszek.

Książka Ziem Odzyskanych

Nowy znak kulturalny Wrocławia

Przed miesiącem ukazała się we Wrocławiu skromna, tania wyjątkowo (70 zł pięć i pół arkusza druku, „nobliwą" — jak się dawniej mawiało, okładkę) — książka. Spółka autorska, jaką z kartonu okładki wyliczymy, jest właściwie spółką familijną — trzeba to zdemaskować. Tak więc pod tytułem **Zeszyty wrocławskie, kwartalnik krytyczno - literacki (numer 1)** trzeba do wszystkich imion dopisać nazwisko rodowe: Uniwersyteccy. Jeden filolog klasyczny, jeden — językoznawca, dwu historyków literatury, jeden prawnik (choć od dwu lat miłośnik architektury); nawet kronikę teatralną lektor wymowy kreśli. Ta ekskluzywność klanowa — może nie będzie regułą, ale znakiem jest. Znakiem, że niemal wszystko co po rynku kulturalnym wrocławskim chodzi, ze smutną regularnością obraca się wokół uniwersytetu.

Zstąpmy do głębi.

Region nie uwiódł ani redakcji, ani autorów. Zeszyt otwiera świetny szkic prof. Tadeusza Mikulskiego **„Niemcewicz na koźle".** Jest to jedno ze „spotkań wrocławskich" — cyklu kilkunastu spotkań myśli i person polskich na przestrzeni ostatnich dwu wieków z kręgiem śląskim a specjalnie wrocławskim. Niemcewicz w jednej ze swych „podróży historycznych" przemierzy Śląsk szerokim łukiem — od Częstochowy przez Opole, Wrocław po Byczynę, a trzyma cały czas notatnik podróżny w ręku. Z tego notatnika wybiera autor szkicu zdania, skrzętnie a przede wszystkim interesująco. Z prawdziwą kulturą literacką, z oszczędnością słowa morału i łatwego efektu, zbliża nam i Niemcewicza (człowieka epoki, jaką Mikulski świetnie przepatrzył już wielokroć) i jego wrocławskie obserwacje. Takie przecięcie szlaku myśli polskiej z żywo obracającego się koła wrocławskiego (o osi podówczas już niemieckiej) daje ciekawe światła. Wystarczy je pokazać — dają wtedy więcej do myślenia, niż mozolne ich tłumaczenia.

Podczas gdy podróż Niemcewicza ma tylko topograficzny związek z regionem i przedstawiona jest w ramie historyczno-obyczajowej tak zamkniętej starannie, że nie trąci prowincjonalnym regionalizmem — świadomie regionalizuje swój temat Andrzej Jochelson pisząc o **„Dwóch kościołach naprzeciw siebie".** Stawia nam przed oczyma przeszłość kościoła św. Doroty i Bożego Ciała. Pierwszy w rękach augustianów, wytwornych miłośników piękna i sztuki, w rękach niemieckich, drugi wznoszony przez sandomierskich joannitów, poczciwie nudzących się na tej najdalej podówczas na zachód wysuniętej reducie polskiej.

Naukowiec - powieściopisarz, obecnie prorektor uniwersytetu, Jerzy Kowalski tak charakterystycznymi dla siebie krótkimi, aforystycznymi niemal zdaniami, uczy nas jak należy traktować kalendarz historyczny: nie bać się odległości dwóch czy trzech tysięcy lat, śmiało kroczyć przęsłami paruset letnimi w trójkącie Seneka — Kolumb — wiek XX. **„Ze studiów o literaturze rzymskiej"** przedstawia fragment o **„Języku i stylach literatury rzymskiej"**, a prowadząc rzecz o podziale łaciny na plebejską i senatorską, w drugiej części artykułu prezentuje Senekę, jako prawodawcę stylu dzisiejszej prozy francuskiej, ba, wszelkiej nowożytnej, nawet korzeniami w owej łacinie plebejskiej tkwiącej. Artykuł podany jest językiem tak nowożytnym, że chciałoby się cytować zbyt liczne ustępy, jeszcze raz stwierdzić, że kultura europejska stanowi organiczną całość — a rzeczą talentu pokazywać jej konstrukcję w tak frapujący sposób, jak czyni to Kowalski.

Nieogłoszone dotąd drukiem listy i notatki Stanisława Wyspiańskiego o pobycie jego w Legnicy i Wrocławiu, starannie uszeregowany materiał, dał prof. Stanisławowi Kolbuszewskiemu kanwę do artykułu o **„Wizji Henryka Wtórego"** (Pobożnego). Przedstawia on proces formowania pomysłów i wykonanie witraża i rapsodu o Henryku Pobożnym. **Konsekwencja, z jaką wracał Wyspiański w swojej twórczości do Polski piastowskiej, warta jest dzisiaj przypomnienia** — zwłaszcza jeśli jest to robione w formie rozprawki tak starannie dokumentowanej i podanej narracją tak płynną — warta przypomnienia, że Wyspiański właśnie w czasach piastowskich i chłopskich a nie szlacheckich i jagiellońskich szukał tematyki artystycznej.

„Pisarz i jego słowo" jest tematem artykułu prof. Stanisława Rosponda. Przejrzawszy „historię" naszej, kierunki europejskiej stylistyki — dyscypliny, która — zdaniem autora — wyjść z powijaków nie może, a u nas (zdaniem naszym) trudna jest w ogóle do odnalezienia, — stawia autor pytanie w jaki sposób pisarz może korzystać ze zdobyczy i współpracy językoznawcy. Bogata kolekcja wspominków, błędów i potworków onomastycznych — jest i przestrogą dla pisarzy i zachętą do bliższego kontaktu z filologami.

Kronika zawiera „małą historię" Czwartków literackich we Wrocławiu, oraz repertuar budynku opery wrocławskiej, czyli przegląd działalności filharmonii, opery i teatru, które dzielą się jedyną właściwie salą spektaklową ocalałą po wojnie.

Krytykować można wiele. Zagubiona pierwsza karta, dlaczego nie ma żywej paginy, dlaczego kuleje kolportaż? (wydaje kwartalnik Koło Miłośników Literatury i Języka Polskiego, Wrocław, plac Nankera 7). Dyskutować można i należy treść artykułów. Ale uznać trzeba jedną cechę wyjątkową. Gdy w Katowicach wychodzi 40 periodyków (niektóre o wielkiej fachowej wartości), w Polsce kilkanaście periodyków literackich — to ZESZYTY WROCŁAWSKIE są pierwszym pismem, które przypomniało o tym, że i artykuł musi mieć styl. Potulny czytelnik, który nie umie tego zażądać od redakcji (nawet „Twórczości"), pocieszy się tutaj zwłaszcza trójką o Niemcewiczu, Wyspiańskim, Senece.

Tak się we Wrocławiu pisze piękne baśnie o dalekich krajach — za morzami odbudowy, aprowizacji, kodyfikacji prawa położonych, gdzie pod niebem nauki, czystej a bezinteresownej, kwitną rośliny wielkiego ogrodu kultury. Są to jednak baśnie o wiele pożyteczniejsze od telegramów prasowych!

Agata Kajzerek

... nagle zerwał się z pryczy, skoczył do kąta, chwycił dzban, przechylił nad ustami... To był dzban wódki... Po takiej porcji alkoholu człowiek pada i zasypia... Ale tamten nie zasnął...

(str. 492) (10)

Wśród czasopism

Poza czasopismem „Łódź Teatralna", które nie dociera poza krąg bywalców teatralnych w Łodzi, nasze czasopiśmiennictwo poświęcone sprawom sceny i dramatu ustabilizowało się w okresie końcowych miesięcy ub. roku w ramach dwóch czasopism. Jest to miesięcznik „TEATR", pismo o charakterze ogólnopolskim, i więcej już krakowski dwutygodnik „LISTY Z TEATRU". Wprowadzając to rozróżnienie w określeniach „ogólnopolski" i „krakowski", wziąć trzeba pod uwagę że Kraków niezmiennie od zimy 1945 r. stanowi najliczniejszy, najbogatszy a niewątpliwie i najżywszy ośrodek życia teatralnego w kraju. Na palcach możnaby policzyć i to u jednej ręki te wartościowe prapremiery sztuk polskich, które w pierwszym lub drugim wykonaniu nie pojawiły się na jednej ze scen krakowskich, a przeważnie od tych scen nowe sztuki polskie zaczynały swoją drogę do innych teatrów. Nie może jednak ujść uwadze fakt, że teatralny Kraków otrzymał w ciągu roku 1946 mocnych rywali i konkurentów, że pomysłowością w doborze repertuaru oraz inwencją inscenizatorską wysunęły się mocno na czołowe pozycje teatry łódzkie, że z pewnym oficjalnym dostojeństwem podejmuje rywalizację Teatr Polski w Warszawie, że ogólnopolski rozgłos raz za razem zdobywa słusznie teatr Wilama Horzycy w Toruniu, że przecież w gronie tej czołówki musi się znaleźć i teatr katowicki ze swoimi dwoma scenami, które notują już sporą liczbę sukcesów. Ostatnio nawet Gdynia teatrem Ivo Galla upominała się o prawa liczenia się do rzędu teatrów z poważną ambicją artystyczną. W tych warunkach krakowskie czasopismo teatralne może stać się w ciągu trwającego obecnie sezonu pismem o charakterze zbyt lokalnym, obrazem polskiego życia teatralnego zbyt cząstkowym i niemiarodajnym. Z drugiej jednak strony pismo, które nazwałem „ogólnopolskim" nie ogarnia jeszcze całości życia teatru w Polsce w tej mierze, by to określenie oddawało w pełni jego charakter, w tym stopniu, by mogło ono utrzymać się jako jedyny periodyk teatralny. Być może, że do tej pełnej ogólnopolskości „Teatr" nigdy nie dojdzie, że będzie musiał być nadal uzupełniany przez periodyki innych ośrodków teatralnych, że periodyki te pojawią się we wszystkich środowiskach żywej myśli teatralnej w Polsce, a nie tylko w Krakowie. Dlatego żałować też należy, że wspomniana na wstępie „Łódź Teatralna" nie funguje właściwie jako czasopismo, że nie jest udostępniona poza Łodzią nawet redakcjom czasopism, które chętnie zainteresowałyby się tym pismem jako cennym źródłem informacji. A właśnie Łódź jako liczne skupisko wybitnych ludzi teatru i znawców zagadnienia, jako teren, na którym artystyczne problemy teatru rozwiązywane są pomysłowo i odkrywczo, powinna również zabrać głos i zająć odpowiednie miejsce w naszym czasopiśmiennictwie teatralnym. Wydaje się również, że teatry śląskie (Katowice, Sosnowiec, Bielsko, Opole) powinny się zdobyć na wspólny organ choćby miesięczny, który dawałby oświetlenie tutejszej, w niektórych momentach zupełnie specyficznej problematyki teatralnej.

Ostatni za rok 1946 numer (6-7) „Teatru" przynosi na czele rozważania Jerzego Zawieyskiego o możliwościach rozwoju dramatu w Polsce. Tak trzeba w uproszczeniu rzecz tę nazwać. Redakcja nie we wszystkim zgadza się z Zawieyskim i ma rację. Artykuł pobudza do refleksji, jest w charakterystyce prądów myślowych i ideowych minionych i współczesnych trochę szablonowy i nieprzekonujący. Budzi wątpliwości już od wyliczenia „wybitnych dramatopisarzy" okresu drugiej Rzeczypospolitej, zaskakując samym doborem nazwisk i kolejności, ich wyliczenia: Morstin, Nałkowska, Dąbrowska, Szelburg-Zarembina, Słonimski, Pawlikowska, Iwaszkiewicz. Z tego wyliczenia najbardziej bezsporną pozycję stanowi Szaniawski, który wymieniony został też przed tymi autorami. Zawieyski pobieżnie charakteryzuje międzywojenne dwudziestolecie jako okres relatywizmu i sceptycyzmu, irracjonalizmu, obok którego wyrastał również hedonizm i biologizm. Nad tym wszystkim ciążyła „niecierpliwość, pośpiech, tempo, powierzchowność, które były objawami degeneracji dość powszechnymi, aby mogły być zauważone jako katastrofa". Przyjmuje i usiłuje udowodnić, że na tym tle słuszny był sąd o tym okresie, jako o epoce liryki i prozy, podczas gdy czasy nadchodzące mają przynieść rozwój dramatu, jako gatunku literackiego, który najbardziej będzie charakterowi ich odpowiadał. W sposób interesujący omawia dalej Zawieyski twórczość dramatyczną pisarzy uchodzących za reformatorów teatru, jak Giraudoux, Pirandello, Shaw. W epoce powojennej widzi Zawieyski okres i proces dynamicznych starć światopoglądowych, starć o charakterze powszechnym, walkę o nowe wartości pomiędzy materialistycznym marksizmem a katolicyzmem z jego filozofią realizmu. To miałby być według Zawieyskiego filozoficzny sens dramatu, który się z naszych czasów narodzi. A jego kształt artystyczny? Tragedia może się pojawić tylko jako wykładnik światopoglądu metafizycznego, t. zn. chrześcijańskiego. Przeciwstawi się jej laicki optymizm materializmu, usuwający przy pomocy rozumu i wiedzy pierwiastki tragizmu. Komedia w wielkim stylu może na drodze artystycznej złagodzić siłę starcia obydwu tych światopoglądów. A którą z form tradycyjnych możemy podjąć? Tradycji dramatu klasycznego nie mamy poza Kochanowskim i Felińskim. Mamy słabą i niedoskonałą tradycję dramatu naturalistycznego i wielką tradycję dramatu romantycznego, którego problematyka ideologiczna przesłaniała w dotychczasowych ocenach problematykę artystyczną. Ten dramat przeżywa obecnie na naszych scenach swój renesans, jest jakby na nowo odkrywany. Zawieyskiemu nie chodzi o kontynuację któregoś z tych gatunków. Chodzi mu o to, by nowy dramat miał kształt artystyczny wyrażający sens naszych dni tak doskonale i prekursorsko, jak to czynił nasz dramat romantyczny. Autor wierzy, że taki dramat, wielki dramat powstanie, ale kończy swoje rozważania pełnym wątpliwości stwierdzeniem, że „nie zawsze wielka epoka, wydaje wielką sztukę". A zatem nowy dramat powinien przyjść, istnieje podłoże filozoficzne dla jego rozwoju, ale w jakiej formie — nie wiadomo, no i nie wiadomo, czy w ogóle przyjdzie. Artykuł Zawieyskiego jest impresyjny, subiektywny; brak powiązania rozważań teoretycznych z praktyką dramatopisarzy polskich, którą znamy po wojnie, powoduje, że wisi trochę w próżni, nie usiłując sprawdzić, czy coś z tej teorii tkwi w tym, co przyniosła polska twórczość dramatyczna w dwóch ostatnich latach.

Omawiany zeszyt „Teatru" przynosi dwie sylwetki aktorskie: Aleksandra Zelwerowicza i Marii Przybyłko-Potockiej (E. Csato i K. Wroczyński). Stwierdzić trzeba, że tego rodzaju opracowań mocno brak w polskiej literaturze teatralnej i na tego rodzaju opracowania niezależnie od jubileuszów i zgonów należałoby położyć wielki nacisk. Interesujący przegląd repertuaru teatrów polskich w bieżącym sezonie daje Wanda Padwa. Ale ten plan, jak widać już dzisiaj, będzie daleko odbiegał od wykonania. To jest po trosze plan, na podstawie którego dyrektorzy zdobywają koncesje. Praktyka w sezonie przynosi różne modyfikacje. „Orfeusz" Świrszczyńskiej omawiany jest w wyznaniu samej autorki, w uwagach inscenizatora i reżysera W. Horzycy oraz w oświetleniu krytycznym Stefana Srebrnego. Kronika krajowa uwzględnia tylko Kraków, Warszawę, Łódź i Wrocław. Interesujące są sprawozdania z Ameryki, ZSRR, Anglii i Belgii.

Ostatnie trzy zszyty „Listów z teatru" (7—9) wskazują na dalszy konsekwentny rozwój tego pisma. Imponuje liczba i dobór współpracowników, a co za tym idzie, różnorodny i bogaty materiał. Obok dyskusji o pracy reżysera, o recenzentach, o recytacji wierszy, wiele miejsca zajmują omówienia bieżąco granych w Krakowie sztuk, uzupełnione fragmentami przy prapremierach. Szkoda tylko, iż informacja redakcji, że pismo można otrzymać w księgarniach większych ośrodków teatralnych Polski ma znaczenie czysto teoretyczne. (ki)

Errata

W omówieniu katowickiej premiery „Dwóch teatrów" J. Szaniawskiego, zamieszczonym w poprzednim numerze „Odry", chochlik drukarski zmienił imię prof. **Andrzeja Pronaszki** na Zbigniew.

(Butr.)

Z teki karykatur śląskich

Rys. Stefan Balicki.

Jan Baranowicz:
„Tutaj się syci ma chłopska tęsknota"

Przytyczek

„Kuźnica" skarżyła się niedawno na coraz ostrzejsze przeciwko niej ataki, pojawiające się na łamach prasy katolickiej. W atakach tych widziała intencje polityczne. Oczywiście ataki były, ale ani im się równać ze szturmami, które marksiści łódzcy nieśli przeciwko pozycjom katolicyzmu polskiego. W chwili, kiedy katolicy polscy przeklinają bierność i z zapałem dążą do porozumienia z obozem lewicy, kiedy deklarują współpracę z Rządem — co najmniej nierozsądne są wypady przeciw katolicyzmowi, przeciw religii. W każdym razie w chwili obecnej trudno je nazwać walką z „ciemnotą" i „obskurantyzmem", raczej należało by je określić jako rozbijanie obozu demokracji polskiej, którego cząstką są także katolicy.

Toteż z przyjemnością należy zanotować, że oburzające wystąpienie „Kuźnicy" (nr 5, przedruki antyreligijnych dowcipów i rysunków z włoskiego „Don Basilio"), obrażające uczucia religijne i pełne niejasnych, jak na stosunki polskie, aluzji politycznych, spotkało się z należytą odprawą na łamach naczelnego organu PPR „Głos Ludu" (nr 32, „O właściwą rzeczy miarę"). „Głos Ludu" pisze:

„...będąc odcinkiem frontu intelektualnego lewicy w Polsce, „Kuźnica" nie jest bynajmniej całym jego frontem. A już stanowczo nie jest nim, jeśli idzie o takie czy inne poruszone przez nią konkretne literackie czy filozoficzne tematy. Wiele dróg prowadzi do Rzymu. I wiele koncepcji mieści się w ogólnej formule frontu lewicy w Polsce".

„Może nie mieć racji peperowiec, może nie mieć racji nawet cały zespół złożony w dużym odsetku z peperowców. Jaskrawy przykład takiego właśnie wypadku daje nam ostatni numer „Kuźnicy". Jaki sens miały w ostatnim numerze przedruki z włoskiego „Don Basilio"? **Obóz demokracji polskiej — i PPR jako cześć tego obozu — wielokrotnie podkreślały, że nie chcą w Polsce walki z religią i walki z Kościołem** (podkreślenia nasze). Ostatnie wybory przyniosły ku satysfakcji nas wszystkich poważne odprężenie nastrojów na tym odcinku. W tej samej Łodzi, gdzie wychodzi „Kuźnica", uczczono zwycięstwo obozu demokratycznego, obozu pojednania wszystkich uczciwych Polaków, uroczystym biciem w dzwony we wszystkich kościołach. Czyżby towarzysze z „Kuźnicy" nie dosłyszeli tych dzwonów? „Kuźnica" jest pismem pożytecznym, „Kuźnica" jest pismem potrzebnym. Ale to nie znaczy, że „Kuźnica" posiada monopol na reprezentację marksizmu, na reprezentację lewicy polskiej na odcinku intelektualnym".

„Obóz demokracji polskiej, obóz lewicy polskiej nie chce być wciągany w spory, mające bardzo często charakter grupowy, kapliczkowy. Obóz lewicy polskiej uważa, że zwłaszcza na odcinku intelektualnym w Polsce można różnymi sposobami służyć sprawie postępu, sprawie demokracji. I tylko w zależności od konkretnych rezultatów tej działalności, od rzeczywistej wartości danego ugrupowania dla Polski Ludowej, nie od jej artystycznego wyznania wiary — zależy ocena każdej grupy literackiej przez obóz lewicy polskiej".

Kora

O filologach wrocławskich

Z prawdziwą przyjemnością przeczytaliśmy w „Dzienniku Zachodnim" artykuł Romana Aftanazego o Instytucie Filologii Klasycznej przy Uniwersytecie Wrocławskim. Dowiedzieliśmy się z niego niejednego ciekawego szczegółu bądź o samym Instytucie, jego pracach i osiągnięciach, bądź o profesorach, wśród których znaleźli się m. in. luminarze szkoły lwowskiej prof. prof. Jerzy Kowalski i Ryszard Ganszyniec. Studenci filologii klasycznej nie stanowią grupy tak licznej, jak studenci prawa czy medycyny, niemniej są tymi ludźmi, którzy — wedle słów autora artykułu — „przez głębokie studium świata starożytnego piszą metrykę naszej kultury zachodniej". Filologia klasyczna nie znajduje może tego praktycznego zastosowania w życiu, co inne nauki, chociaż np. zarówno medycyna jak i prawo na łacinie opierają swoją nomenklaturę, stanowi jednak podstawę wykształcenia ogólnego.

(w)

Plastyka na Ziemiach Zachodnich

Plastycy na Ziemiach Zachodnich wykazują dużo inicjatywy i rozwijają godną uwagi działalność.

Osiedli na Pomorzu plastycy w liczbie więcej niż 70 tworzą Pomorski Związek Plastyków, dzielący się na 2 oddziały (w Bydgoszczy i Toruniu) i 3 koła (we Włocławku, Inowrocławiu i Grudziądzu). Do dyspozycji plastyków pomorskich stoją stałe sale wystawowe w Pomorskim Domu Sztuki w Bydgoszczy, w Domu Plastyków w Toruniu oraz w Muzeach Miejskich w Grudziądzu i Włocławku. Dotychczas zorganizowane pokazy prac objęły: Bydgoszcz (5 wystaw), Toruń (6), Inowrocław (2), Grudziądz (2), Włocławek (3) i Chojnice (1). Szkolnictwo artystyczne na Pomorzu reprezentowane jest przez 2 uczelnie: Wydział Sztuk Pięknych Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika w Toruniu i Państwową Szkołę Sztuk Pięknych w Bydgoszczy.

Na Dolnym Śląsku siedzibą Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Pięknych jest Wrocław. Uczęszcza tutaj na wykłady około 100 słuchaczy, rekrutujących się głównie spośród młodzieży chłopskiej i robotniczej. Pierwszy rok studiów obejmuje przedmioty ogólne, na drugim przewidziana jest specjalizacja w odpowiednich do zamiłowań kierunkach. Ponadto projektuje się utworzenie działów: grafiki użytkowej, architektury wnętrz, rzeźby dekoracyjnej, ceramiki i zdobienia tkanin. Obok nauki Szkoła Sztuk Pięknych we Wrocławiu prowadzi akcję popularyzacji sztuki wśród ludności wrocławskiej, organizując wystawy obrazów itp., a w najbliższej przyszłości urządzając kursy wieczorowe.

Fakt istnienia na Ziemiach Zachodnich kół plastyków, jak również oznaki budzenia się coraz szerszych zainteresowań czy to na Dolnym Śląsku, czy na Pomorzu, pozwalają wróżyć, że ziemie te, piękno ich krajobrazu, zabytki i typy ludowe coraz częściej zaczną się pojawiać jako motywy w plastyce, podobnie jak pojawiły się w literaturze. **(w)**

Wydaje Sp. Wydawn. „Czytelnik". Redaktor naczelny: WILHELM SZEWCZYK. Komitet Redakcyjny: Zespół „Odry". Redakcja: Katowice, 3-go Maja 36a, II ptr. Telefon 325-58. Administracja: Katowice, 3-go Maja 12. Prenumerata miesięczna 40 zł, kwartalna 120 zł. Konto PKO III 4960. Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wydaw. „Czytelnik", 3-go Maja 12. Złożono i odbito w drukarni nr 9 Sp. Wydawn. „Czytelnik", Katowice, 3-go Maja 12. R 37016